

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI

Prenumerata w Polsce:
miesięczna 2 zł. 75 gr.
kwartalna . 7 „ 50 „
półroczna . 15 „ — „
roczna . . 28 „ — „
Numer pojedyńczy 75 gr.

W Ameryce:
półroczna . 6 dolarów
roczna . . . 12 „

Naczelny redaktor przyjmuje codziennie od g. 10—12 przedpoł. Rękopisy i fotografje redakcja zwraca tylko na żądanie.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 140.260
Konto P. K. O. Kraków Nr. 400.519
Konto w Banku Związku Sp. Zarob. Oddział Kraków

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

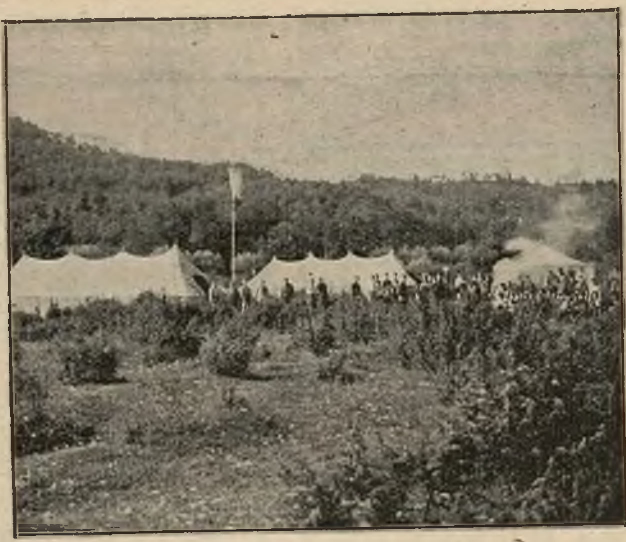
Telefon Nr. 479.

Rok XXI. Kraków, 16 sierpnia 1924. Nr. 33.

Krwawa walka policji z cyganami



We wtorek doszło do krwawego starcia między oddziałem policji, a bandą cyganów pod Krakowem. W formalnej potyczce, jaka się wywiązała, cyganie użyli **palnej broni**. Po dwugodzinnej walce wyłapano 18 ludzi, w tem 3 kobiety i odstawiono ich „pod Telegraf". Ilustracja nasza przedstawia bandę na podwórzu aresztu „pod Telegrafem". (x.) Król bandy.







1) Przy ognisku. — 2) Skok o tyczce. 3) Kąpiel w Dunajcu.

Obozy letnie w Gołkowicach pod Starym Sączem.

Inicjatywa ministerstwa wojny, która w porozumieniu z ministerstwem oświecenia publicznego przystąpiła do wykonania rozległego i pięknego planu przysposobienia wojskowego naszej młodzieży wydaje już teraz owoce. Praca ta podjęta z pełnem zrozumieniem celów i prowadzona nawskróś nowoczesnemi, wolnemi od kapralstwa i szkodliwego militaryzmu metodami nie napotyka na żadne trudności w społeczeństwie.

Wprost przeciwnie — społeczeństwo nasze rozumie doskonale konieczność przysposobienia wojskowego obywateli zdając sobię sprawę z trudnego położenia Rzeczypospolitej sąsiadującej z wiecznie czyhającymi na jej całość drapieżcami. Że zaś młodzież nasza sprawna jest i pochopna do wojennej zabawy, że umie stanąć w potrzebie na straży narodowego sztandaru — zadokumentowała to krwią obficie przelaną na sławnych pobojowiskach 1920 roku. Ileż to batalionów i pułków i baterji sformowano wtedy w momencie strasznego niebezpieczeństwa najazdu z ochotniczych kadrów szkolnej i harcerskiej młodzieży.

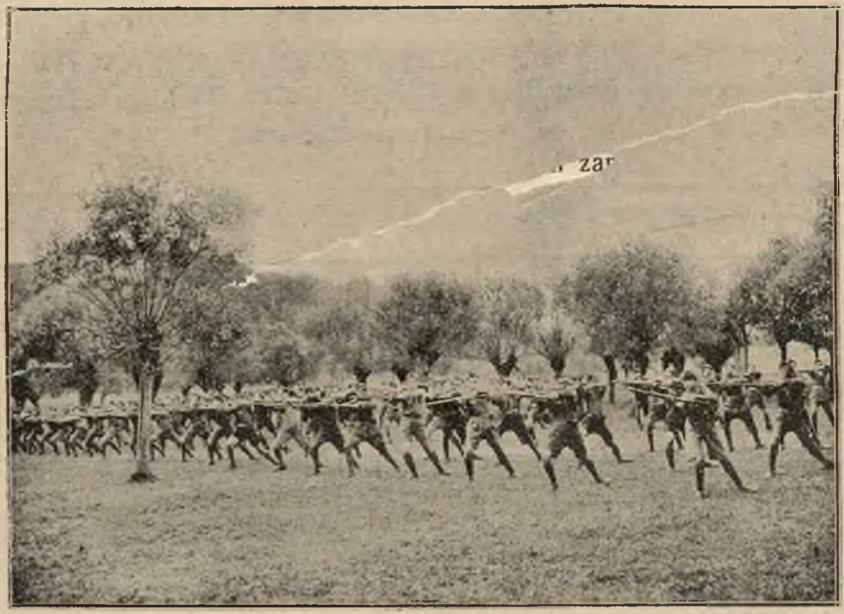
Letnie obozy w Gołkowicach pod Starym Sączem zorganizowane przez władze wojskowe, są poza ich użytecznością dla celów przyszłej obrony państwa także dobrodziejstwem dla szkolnej młodzieży, która w doskonałych warunkach zdrowotnych hartuje ciało i oddychając cudownem górskiem powietrzem nabiera sił i zdrowia.

Dowództwo nad młodzieżą w obozach II-giej grupy, objął kpt. 16 pp. Tadeusz Klimecki, a fachowem kierownictwo wychowania fizycznego i saperki por. Konstanty Sabiłło z 5. p. Saperów. II-gą grupę podzielono na 4 obozy pod dowództwem fachowców oficerów. Prócz tych znajdują się tam jeszcze specjalni instruktorzy i profesorowie gimnastyczni, opiekę lekarską objął por. podlekarz Zygmunt Niepokój z V-baonu Sanitarnego.

Cudna, malownicza okolica. Nie opodal srebrna wstęga Dunajca. Na północy majestatyczna panorama łańcuchów górskich (powyżej 1,200 metrów) bujnie zalesionych i wyniosłych. Z daleka już zbliżając się do „koczowiska" młodych zuchów widzi się białe plany namiotów — nad poszczególnymi obozami powiewają flagi o barwach narodowych umieszczone na wysokich masztach.

Gwar, ruch, życie wre i kipi w tych obozach. W każdym pięć do sześciu dużych namiotów rozbitych półkolem, przed namiotami dół na ognisko i kuchnia polowa, skąd dolatuje wesoła donośna piosenka kucharza. Namioty okopane rowkami dla ochrony przed deszczem, wewnątrz namiotów łóżka, bardzo starannie wyścielone miękkimi kocami.

O godzinie 6-tej rano na alarm trąbki młodzież zrywa się z łóżek i biegnie do rzeki, która służy za umywalnię. Ubiór nieskompiikowany, lekkie i krótkie spodenki, więc toaleta trwa niedługo. Ubrani i umyci stają do porannego apelu. Modlitwa. Potem odmarsz na plac ćwiczeń, gdzie przez trzy kwadranse odbywają się ćwiczenia gimnastyczne. W ciepłe, słoneczne dnie prócz gimnastyki obowiązkowa kąpiel i pływanie. O godz. 12·30 trąbka na objad. Młodzież z menażkami w rękach, w porządku maszeruje ku paleniskom (t. j. kuchniom). Tam odbywa się ten miły tak dobrze braci harcerskiej znany szturm na kucharza, po którym chłopcy zadowoleni i roześmiani z otrzymanemi porcjami odchodzą do stołów, przy których zasiadając spożywają ze smakiem Boże dary. Apetyt mają nielada, więc porcje znikają momentalnie w dyszących morderczą żądzą gryzienia i połykania żołądkach. Po objedzie dwugodzinna przerwa, po której następują wykłady: a więc saperka, terenoznawstwo, nauka o gazach trujących, o służbie łączności i t. d. Od godz. 5-tej lekka atletyka, football, piłka koszykowa, gry i zabawy. Ciała nabierają sprężystości, stają się mocne i zwinne, i opalają się w słońcu na śniado. Skoki wzwyż i oddal, biegi i rzuty oszczepem



Ćwiczenia w walce na bagnety.



Czyszczenie broni



W początkach sierpnia odbyło się w Bydgoszczy uroczyste poświęcenie ogniska sokołów. Na ilustracji widzimy p. prezydenta Wojciechowskiego, przemawiającego do tłumnie zebranych druhów. W. Piechocki.



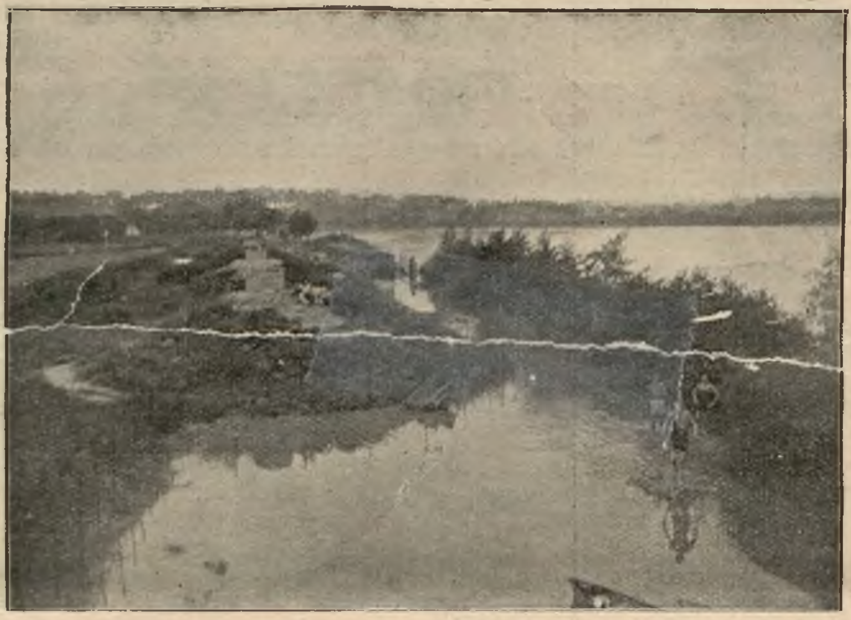


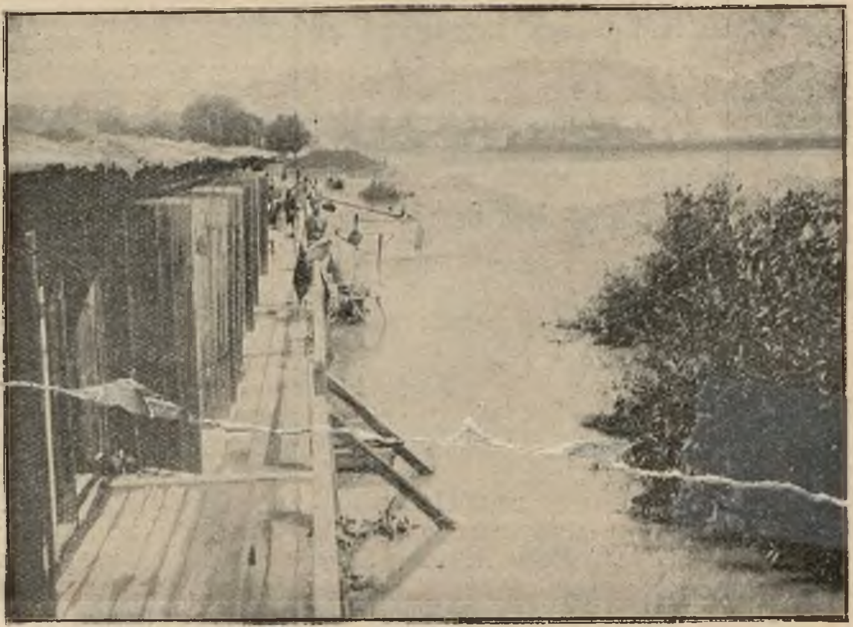
Katastrofa powodzi:

Kamieniec. Ujście Bystrej.

Wylew na Kamieńcu u ujścia regulowanego potoku.

wyrabiają muskuły rąk i nóg, śmiałość, przytomność umysłu i szlachetne spółzawodnictwo rozwija się w młodych sercach „lekkich atletów".
Wieczorem cała wiara gromadzi się przy





Wysoki stan wody na Wiśle w początkach sierpnia:

1) Gdzie zwykle na piasku wygrzewają się ludzie, tam obecnie jeździ się łodzią.

2) Łazienki na plaży wojskowej pod wodą.

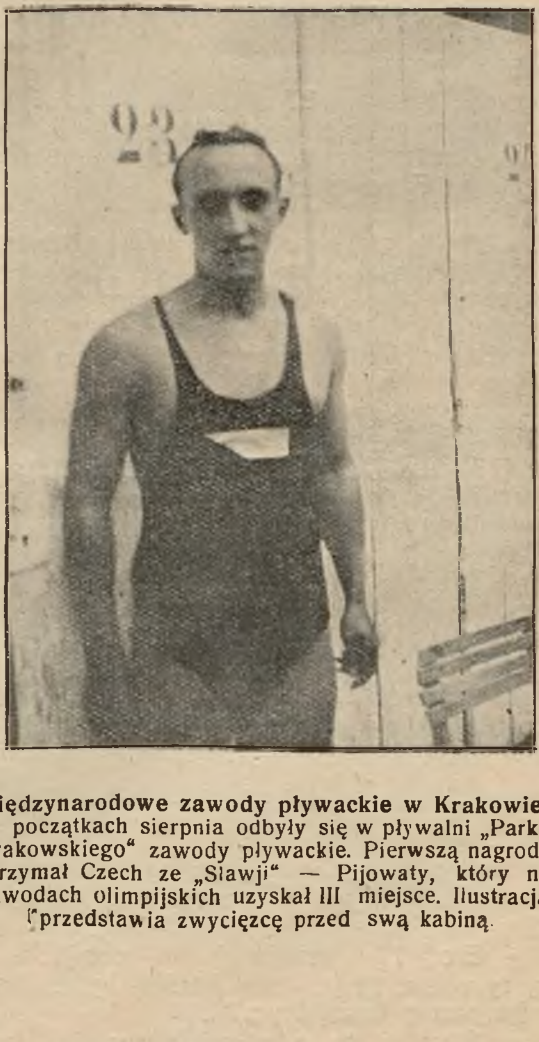
obozowem ognisku. Płomień oświetla czerwono twarze, dym bucha w gwiaździste niebo, iskry strzelają z trzaskającego chróstu, a chłopcy słuchają w milczeniu sw ich kierowników, prowadzących przemiłe pogadanki. Po gawędach wesołe, lub smętne pieśni przy akompanjamencie skrzypiec i gitary i pożegnanie ogni ka. „Spać, spać!" — nawołują dowódcy, a młodzież rozbawiona niechętnie wślizguje się po wieczornej modlitwie pod koce, aby wnet zasnąć snem kamiennym.

We środę i sobotę po południu chłopcy mają czas wolny. Wykorzystają go w należyty sposób. Wycieczki w góry, doskonale przygotowane i prowadzone przez doświadczonych instruktorów zapoznają młodzież z terenem, z geologją, z przyrodą gór

Tak spędza czas nasza młodzież w letnich obozach wojskowych. Mamy nadzieję, że w niedługim czasie nietylko młodzież szkolna, ale i rzemieślnicza, zostanie wciągnięta do tej pięknej pracy nad odrodzeniem fizycznem narodu.



W dniu 6. sierpnia prastary rynek krakowski był świadkiem uroczystej „zmiany warty". która w rocznicę wymarszu legjonów w pole, odbyła się przy dźwiękach orkiestry. Tłumy publiczności obserwowały podniosłą ceremonię.



Międzynarodowe zawody pływackie w Krakowie: W początkach sierpnia odbyły się w pływalni „Parku Krakowskiego" zawody pływackie. Pierwszą nagrodę otrzymał Czech ze „Slawji" — Pijowaty, który na zawodach olimpijskich uzyskał III miejsce. Ilustracja przedstawia zwycięzcę przed swą kabiną.

W. RAORT.

WIDOKÓWKI

II.

Człowiek jadący w czasie nocy czarnej, jak sumiennie paskarza, mało zazwyczaj okazuje zainteresowania dla piękności przyrody. Patrzeć bowiem jest łatwo, zaś cokolwiek widzieć jest już rzeczą o wiele trudniejszą.

Poddajemy się więc rytmicznemu ruchowi mknącego pociągu, obserwując snopy złotych iskier lecących wzdłuż nasypu kolejowego tonącego w czarnej mazi nocy i loczymy, niewiadomo po co, słupy telegraficzne wychylające się z ciemności w oświetleniu fruwających iskier.

Z tego przyjemnego zajęcia wyrwał nas przestraszony gwizd parowozu i głuchy łomot kół wstrzymanych nagle w biegu. Przeskakujemy z gracją kilka zwrotnic świecących zielonemi oczyma, uderzamy na silnym zakręcie głowami o rączkę aparatu z napisem: „Warm — Kalt", zrywamy się, aby pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa i raptem stajemy jak wryci na jakiejś jasno oświetlonej stacji.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytuje mój towarzysz podróży.

Szybko rozkładam mapę układu pana Bazewicza z Warszawy i śledzę gorączkowo czerwoną linję toru kolejowego biegnącego ze Lwowa na wschód.

Jak się później przekonałem, jest mapa układu pana Bazewicza nieoceniona wprost dla neurasteników. Najdłuższa choćby przestrzeń na tej mapie wydaje się nam tak krótka, że człowiek poczyna odczuwać żal do samego siebie, iż dotychczas nie zwiedził np. archipelagu Spitzberden lub Kaukazu, które od Lwowa leżą tylko o dwa lub trzy centymetry oddalenia. Poza tem ma mapa pana Bazewicza zalety neutralizujące czas i przestrzeń, bo nie uznaje żadnych naturalnych przeszkód, jak góry i rzeki, a nadto nie trzyma się utartych szablonów kartograficznych wynikających z uwzględnienia długości i szerokości geograficznej.

Na mapie pana Bazewicza znajdujemy Kraków nad jakimś lewym dopływem Prutu, Karpaty ułożyły się wygodnie niedaleko Kowla, Słucz przerzyna malowniczo całe Pokucie prawie u bram Kołomyji, Warszawa leży sobie całkiem wygodnie obok Kiedan, gdzie — jak wiadomo — Bogusław Radziwiłł nastawał na cnotę Oleńki Billewiczówne), a Wilno — owe wymarzone przez nas miasto — leży wprawdzie nad zatoką Kuronji vis-a-vis wyspy Öland, ale za to w wybitnie dla mnie niesympatycznej Litwie Kowieńskiej, obejmującej wbrew traktatowi wersalskiemu, całą Łotwę z miastem Toruń i Tczew ku zachodowi i Smoleńskiem, aż po porohy Dniepru, w kierunku wschodnim.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — powtórzył mój przyjaciel zapytanie.

— Jadąc według mapy pana Bazewicza na wschód od głównego południka Ferro, znajdujemy się teraz pod 37 stopniem długości i 53 stopniem szerokości geograficznej... Jeśli jednak uznany za główny południk Greenwich albo termometr Fahrnheita, to..

Mój przyjaciel przerwał mi, mówiąc przez kilka chwil na temat idjotyzmu, notorycznej atrofji mózgowej i tym podobnym moich dyplomatycznych właściwościach i usunąwszy mnie z przed okna, które przesłoniłem sobą i mapą pana Bazewicza, począł się rozglądać po peronie dworca.

— Ależ to są Brody! — zawołał z dumą Kolumba odkrywającego Amerykę.

— To nie mogą być Brody — zauważyłem — gdyż według mapy Bazewicza i przebytego czasu, powinniśmy się znajdować co najwyżej obok Mamajeszti, które od Lwowa leży o pół godziny drogi. Zresztą, nie minęliśmy dotychczas żadnego mostu, a ja pamiętam z przedwojennych czasów, że przed Brodami powinien być most na Styrze.

Na co ci most potrzebny? — zapytał ironicznie mój przyjaciel. — Przecież widzisz, że i bez mostu jesteśmy w Brodach...

— Mnie osobiście nie jest most wcale potrzebny do szczęścia, lecz jeśli mamy podróżować według jakiegoś planu, to nie mogę się tak szybko z lekkiem sercem zgodzić na stratę jednego mostu już w początkach naszej podróży.

— Brody! — westchnął mój przyjaciel. — Czy ty wiesz, że ja w tem mieście byłem kiedyś profesorem gimnazjalnym?...

— Niech ci to Bóg przebaczy, jak ja ci przebaczam!...

Mimo wszystko, nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy w Brodach. W owych Brodach, słynnych z brodzkiej herbaty i cholery, oraz z tego, że przeważna część Hallerczyków „trzymała brody w ręku" — jak wynikało z ówczesnych komunikatów sztabu generalnego. Mój przyjaciel wzdychał elegijnie w antraktach, patrząc przez okno wagonu na miejsce swoich wysiłków pedagogicznych, jak człowiek patrzący na szpital, w którym przebył jakąś ciężką operację, żałując równocześnie, że nie może choćby na chwilę wyjść na peron brodzki — a to z tego powodu, że w drodze obaj zrzuciliśmy buciki i podróż odbywaliśmy boso.

— Zanim zdołam ubrać buciki, pociąg ruszy! — zauważył mój przyjaciel.

— Nie zaszkodzi, gdy cię ujrzą i bez butów. Uświęcisz nawet tradycję swego pobytu w Brodach, gdyż jako profesor w tem mieście chodziłeś także bez butów...

Przyjaciel mój począł się wahać i pociąg także. Ruszyliśmy.

Mamy pełną świadomość, że przekraczamy teraz dawną granicę austrjacko-rosyjską, więc poczynam się z lekka opędzać wizjom o policmajstrach, paszportach, ochranie, kopalniach nerczyńskich i szubienicach, nie licząc drobiazgowych przyjemności przygotowanych przez dynastję Romanowych dla wygody podróżującej P. T. Publiczności.

Zdobywam się na gest i wyciągam flaszkę Baczewskiego, którą uroczyście postanowiliśmy wypić dopiero na Antokolu w Wilnie lub nad zatoką w Pucku.

— Na zdrowie tych, co odwalili nam słupy graniczne!...

Mój przyjaciel wydobył swoją flaszkę domowej rektyfikacji, którą uroczyście postanowiliśmy wypić dopiero na plaży w Helu i w szlachetnej rywalizacji wzniósł toast na cześć mego toastu.

Poczęliśmy mówić o wszystkiem i o niczem.

Zdążyliśmy jeszcze zauważyć, że kolej nasza obecnie pracuje już bez deficytu, o czem naocznie przekonaliśmy się z tego, że w przedziale na ośm osób jechaliśmy tylko my dwaj i to za gratisowymi biletami. — Potem napadła nas jakaś rozlewna miękkość (och, ten Baczewski!) i poczęła nas owijać jedwabistym oprzędem... Całowały nas po oczach jakieś pieściwe wspomnienia i kołysały w takt muzyki rels kołebiącego pociągu.

Mówiliśmy cicho o naszych planach i zamiarach na przyszłość — o tem, co serce każe silniej uderzać — o smutnych troskach dnia codziennego i o tem, jak to dobrze wyrwać się z ciasnego koła, w którem się kręcimy dla kawałka chleba i kłamiemy przed sobą o szczęściu, co w przelocie nawet nigdy nas nie muśnie... Mówiliśmy potem o Wilnie... o drodze Napoleona... o Napoleonie... Rok 1812... Krytykujemy cały pochód na Moskwę... Borodino.. Błędy marszałków Berthiera i Duroca... Kotuzów. Ney, Murat, ks. Józef... Odwrót z pod Smoleńska... Wilna... i — budzimy się w Dubnie.

W Dubnie stoi pociąg kilka minut. Zaznaczam to nie dlatego, jakoby stanie pociągu na jakiejś stacji było rzeczą godną uwagi podróżników tej miary co ja i mój przyjaciel, ale czynię to jedynie w tym celu aby podnieść prawdziwe zasługi humanitarne właściciela bufetu restauracyjnego na dworcu kolejowym w tem mieście.

Wyznaję, że nie mieliśmy ani sił, ani chęci do opuszczania wagonu, gdyby nie to, że usłyszeliśmy na peronie urywek bardzo ciekawej rozmowy kilku panów, którzy opuścili sąsiedni przedział.

— Chodźmy na piwo! — powiedział jeden.

— Możemy coś i przegryźć! — powiedział drugi.

— Chodźmy, tu i tak się nie płaci! — powiedział trzeci.

To zadecydowało i natychmiast opuściliśmy z moim przyjacielem nasz przedział.

W bufecie zastaliśmy przeszło dwa zgromadzenia przedwyborcze złożone z podróżnych. Prezydował sam gospodarz, a sekretarzowali dwaj pomocnicy jego oraz jedna mocno zaspana niewiasta. Z oblężonego bufetu porywano co kto chciał. Setki przygotowanych szklanek piwa, wody, lemoniady i innych uprzywilejowanych napojów niezdrowych zresztą dla zdrowia, wypijano w mig; podawano sobie przekąski, nagle o do pośpiechu gospodarza i jego refe entów, połykano nieskontrolowaną ilość kanapek z epoki kamiennej i — nie płacono.

Z tłumu cisnących się i wrzeszczących ludzi wysuwał się jeden po drugim ku drzwiom i znikał w ciemności nocy.

— To ciekawe! — zauważył mój przyjaciel. — Ciekawe, że bufet jest tu gratisowy... Nic o tem nie wspominają w rozkładach jazdy...

— O, ten gospodarz to „cwaniak"!... Pewno będzie kandydował w przyszłości z tego okręgu! — odparłem, uchwyciwszy wreszcie po dłuższych ćwiczeniach ekwilibrystycznych dwie szklanki piwa i dwie skamieniałości kanapkowe.

— Że ten gospodarz może tak obstać! — wypowiedział jeszcze z pewnem współczuciem mój przyjaciel.

Rozległ się dzwonek wzywający podróżnych do powrotu. Od tej chwili zaczęło się widowisko, które mi do reszty obrzydziło wszystkich właścicieli restauracyjnych.

Lotem jaskółki przecinającej powietrze w pogoni za łupem, przeciął nam gospodarz odwrót do drzwi i głosem źle ukrywanej radości, wyrzucił jedno, jedyne słowo: Płacić!

Każdy się spieszył na gwałt, bo dzwonek po raz drugi zatargał naszymi bębenkami. Nie szczęśnicy, którzy poprzednio nie zdołali opuścić bufetu, płacili każdą cenę, byle się tylko wydostać do pociągu. Gospodarz tarasował groźnie wyjście i zgarniał papierki.

I my też zapłaciliśmy. Zapłaciliśmy za dwa piwa i dwa szczotkowce kanapkowe tyle, że wystarczało, aby dziesięciu innych panów nie płaciło zupełnie.

Teraz zrozumiałem humanitarne zalety właściciela bufetu w Dubnie!...

Piękną dewizę: „Jeden za wszystkich a wszyscy za nikogo" zastosował przemiły właściciel bufetu z całą objektywnością swego szczytnego fachu.

— Przez ciebie zrujnuję się finansowo! — Po co mnie ciągnąłeś do tego bufetu? — rzekł mój przyjaciel obmacując troskliwe swój woreczek zawieszony na szyji.

— Cóż to znaczy wobec wieczności? — odparłem sentencjonalnie, usadawiając się w przedziale. Popatrzyliśmy sobie długo w oczy i powiedzieliśmy sobie wszystko, co jeden wiedział o drugim.

Ranek zastał nas w stanie więcej jak smutnym.

Mój przyjaciel zauważył, że wyglądam jak w trzecim dniu wylegiwania się na katafalku, a ja z obserwowałem znowu, iż mój przyjaciel podobny jest łudząco do szczerze zmartwionej foki.

Po piętnasto godzinnej podróży odbyliśmy wreszcie naradę, aby się zatrzymać i wysiąść na pierwszej większej stacji kolejowej, skąd zamierzaliśmy się udać do miasta, aby obmyć się i wyspać porządnie. (Ten Baczewski nie ma czasem racji bytu). Do Wilna mamy jeszcze 36 godzin jazdy. Wleczemy się więc po beznadziejnie monotonnych odludziach Polesia po obu brzegach Horynia, pod żarem upalnego słońca, które wywabia z nich duszne, niezdrowe opary.

Jakaś niemrawa, chora i ponura cisza przechodząca w tępe zadumanie, włada nad tą przestrzenią, gdzie tak niedawno temu walczyły i umierały tysiące i tysiące ludzi wśród huku armat i jęków rozdzierających powietrze...

Z charakterystycznego tępego półsnu, który napada zazwyczaj ludzi w długo wlecących pociągach i na posiedzeniach komisji sejmowych, wyrwał nas okrzyk niemniej zaspanego konduktora: Łuniniec!...

I formujemy się.

Stacja duża, prawie europejska. Miasteczko o kilka kroków od stacji. Są hotele, starosta, restauracje, apteka, kwarantanny szczepkowy, policja, lekarz i oglądacz zwłok oraz bydła

Wysiadamy.

Ciche, w skwarze upału zdrętwiałe miasteczko drzemie u rubieży Państwa, niby samotna stanica kresowa, zapamiętana tylko z komunikatów zabo czych sztabów generalnych, czasu wielkiej wojny. Osada o fizjognomji typowo wschodniej, z kompleksem nędznych, drewnianych domów spiętrzonych, chaotycznie właząych na siebie i przeszkadzających sobie wzajemnie. Smętek opuszczenia włazie się po tych wyboistych, piaszczystych uliczkach Łuninca zamkniętych w ramy drewnianych chodników ułożonych przed wrotami prymitywnych klatek ludzkiego bytowania. Dobrotliwe tylko słońce maluje wszystko na kolor złoty, jasny i ciepły...

(C. d. n.)

Zbiory na całym świecie.



Zbiór kukurudzy w Brazylji.



Zbiór melonów i kawonów w Mesopotamii. Atlantic.



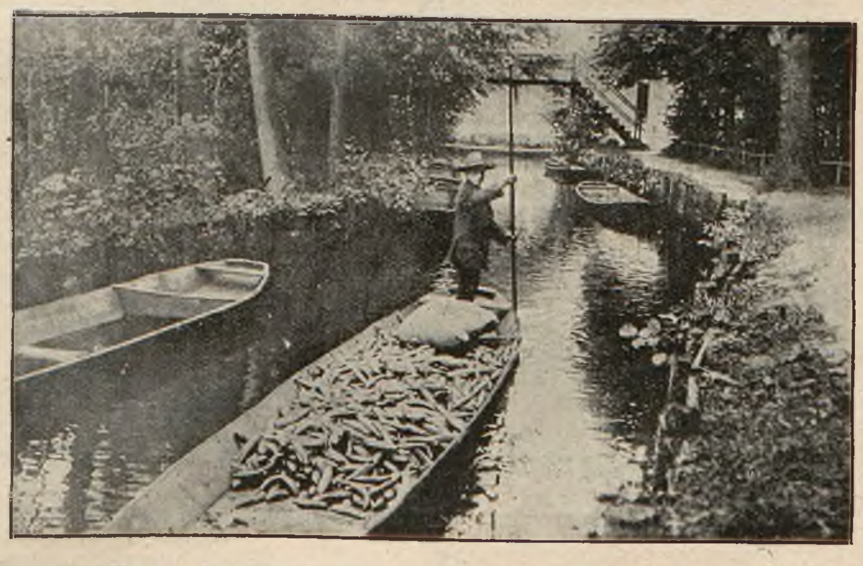
Zbiór herbaty. w Indjach. Pole wygląda, jak jedno wielkie mrowisko.



Tłoczenie herbaty w Indjach. Atlantic.



W Spreewaldzie płody zwozi się w łodziach, ponieważ kraj przerżnięty jest całą siecią kanałów wodnych. Na ilustracji widzimy olbrzymie dynie.



Zbiór ogórków w Spreewaldzie: Do domu z plonem. Atlantic.



Żniwa w Polsce.



Wóz ze zbiorami w Meksyku. Atlantic.

O modach i miłości, czyli flirt z panną Nellą.



Najnowsze paryskie modele. 1) Kostjum spacerowy, 2) nowość. Suknia w formie kassaku, ubrana na dole w „Mirabeau", 3) Kostjum wełniany, obszyty futrem. 4) płaszcz, ubrany bogato futrem, zwężony u dołu. 5) Płaszczyk w linji prostej; uwydatnia się szczególnie jego krótkość.

Informacji fachowych oraz rysunków dostarczył nam łaskawie znany z uprzejmości magazyn mód p. Leona Braciejowskiego.

P. Diaz Bivar mówi o kwiatach i ślicznych nóżkach Nelli; przytem ta ostatnia czuje się mocno zażenowaną. Można się w tym rozdziale dowiedzieć o pierwszych jaskółkach mody jesiennej.



Bądź, co bądź oddycha się tu zupełnie inną atmosferą

O! Afrodyto! wiecznie przedajna i wiecznie dziewicza bogini miłości! Ty jednak ludziom najbardziej trzeźwym dajesz pozory lekkiego obłędu! - myślałem, kupując w kwieciarni parę róż dla słodkiej Nelli.

— Wyznanie miłości nie powinno być ani zbyt gwałtowne, ani zbyt definitywne — to też malutka, dostaniesz te prześliczne „créme doré nie zaś pąsowe. Wiem również, że wolałabyś flaszkę perf m Niestety! Ogólna stagnacja finansowa zawładnęła i moją skromną istotą, więc... musisz się zadowolić tym pięknym symbolem, moja milutka!

Za granicą kwiaty są tak powszechne, jak u nas papierosy, to też młody człowiek, idący z zawiniątkiem w bibułce nie budzi specjalnego zainteresowania. Zupełnie co innego w Krakowie:

Trzy starsze damy uśmiechnęły się, widząc mnie — pobłażliwie, dwie panienki — drwiąco; A grupka akademi ów na rogu ulicy — prowokująco i ironicznie; wypadłem wreszcie z pod istnego ognia krzyżowych spojrzeń zziajany i zdetonowany.

— Czy ja zabiłem człowieka? Czy jestem konfidentem na usługach obcego mocarstwa? Czy, może ubranie mam nie w porządku?

Nic podobnego! Na pośmiewisko naraziłem się z powodu pięciu róż; Biedne kwiaty! jakżeż możecie w tych warunkach rozpowszechniać się u nas. Zanim dojdziecie do małych rączek, pożrą was małomiasteczkowe oczy, żądne senzacji!

Wreszcie jestem! Wpadam do magazynu, zamykając starannie drzwi. Bądź co bądź, oddycha się tu zupełnie inną atmosferą.

— Ach! to pan? Panie... panie, proszę się na chwilę schować tu, za parawan. Muszę zrzucić tę sukienkę!

— O! przepraszam! Najpierw chciałbym ją na pani zobaczyć...

...Cudowna!

Myślę, że ten kolor będzie się nadawał do tej sukienki — rzekłem, wręczając jej róże. — Proszę ją zostawić; chciałbym, by pani w niej właśnie powiedziała mi coś nowego.

Szybko poprawiła cieniuchną, złocistą pończoszkę... zaszumiała welourowa sukienka... ujrzałem cud, szczyt poezji — doskonałe piękno jej smukłej nóżki.

Przyznam się, że podziałało to na mnie uzdrawiająco. Momentalnie zapomniałem o wszystkich upokorzeniach, doznanych na ulicy...

Kobiety! drzemie w was siła najwyższa! Wasze rączki umieją ukoić ból najzjadliwszy, wasz uśmiech może wskrzeszać i obalać trony,



Panie, Panie, proszę się na chwilę zchować za parawanem..

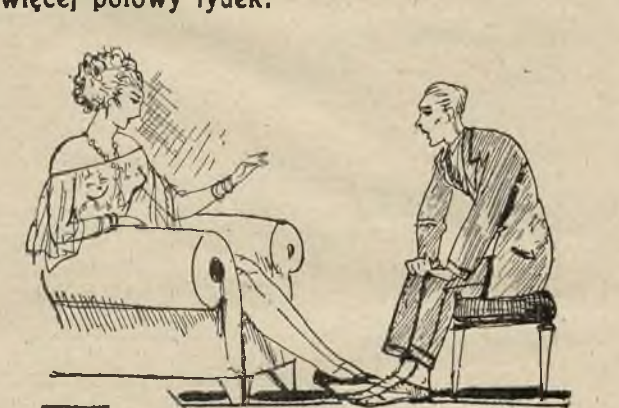
a nie ma przeciwności, której nie pokonałaby filigranowa, maluchna nóżka!

Musiała spostrzedz panienka, że zbyt długo patrzę ku dołowi, gdyż, siadając, skryła wstydliwie pantofelki pod kanapkę.

— Więc, panie, mogę już z zupełną pewnością skonstatować, że mamy na sezon jesienny nadzieje jaknajlepsze; nowe modele — to istne cacka!

...Suknie będziemy nosić w kształcie „kassaka", wąziuchne, o krótkich rękawkach i małem wycięciu koło szyjki. Ubiera się je strusimi piórami, a zwłaszcza prześliczną jest „Mirabeau" — długa wstęga strusich piór, którą można kombinować dowolnie.

Linja sukni prosta, spódniczki krótkie — znacznie krótsze niż dotychczas, sięgające mniej więcej połowy łydek.



Wypowiedziała to wszystko jednym tchem, jak wyuczoną lekcję.

— A! to cudownie! — zauważyłem. — Ładna kobieca nóżka nie powinna się kryć pod fałdami spódniczki! To jest grzech wobec społeczeństwa!

Zarumieniła się i zaczęła niespokojnie ruszać pantofelkami.

— Popołudniowe suknie ubiera się guziczkami; ogromną masą guziczków, których liczba może dojść aż do dwustu.

— Co?

— Tak, do d w u s t u !

— Jakie świetne konjunktury dla tej gałęzi przemysłu!

— Teraz k o s t j u m y.

Utrzymany nadal kształt „sako", długość do... do.. bi der, a nawet dłuższe, tak że równają się prawie paltotowi. Bogato przybrane futrami: s e l s k i n e m, b i b r e t a m i, lub c h i n c h i l l ą.

P ł a s z c z e. Znacznie krótsze, niż wiosenne, lekko szerokie, w formie „sako", ku dołowi zwężane, co tworzy śliczną sylwetkę. Kołnierze, rękawy i doły ubrane futrem.

Najmodniejszymi materiami są: miekki velour, gruby ryps i gładkie, lśniące sukienko.

— Wypowiedziała to wszystko jednym tchem, jak wyuczoną na pamięć lekcję, a potem, potem... ratujcie mnie wszyscy bogowie! — złożyła buzię w cudowny, czarujący „ciup", jak panienka z białego dworku.

Musiałem mieć minę niezwykłą, gdyż wkrótce „ciup", zmienił się w śliczny uśmiech, odsłaniający perły jej ząbków.

— Panno Nelli! — powiedziałem oczarowany. — Myślę, ze nie zechce pani bawić sie w pruderję i powie mi na następny raz coś miłego i ciekawego o rzeczy bardzo ważnej: o bieliźnie; o uroczych dessous, tych wszystkich koronkach, koszulkach i „combinaisons". Chciałbym napisać coś na złość mojemu redaktorowi: może wpłynie to na niego zbawiennie; czy wie pani, że on najciekawsze momenty naszych rozmówek skreśla mi... Przecież taka wstydliwość u mężczyzny jest nie do zniesienia!

— A to podłość! — krzyknęła oburzona! — Dawałby pewno tylko same nowenny i fotografje dewocjonalji!

— Ale my mu pokażemy coś innego, prawda, malutka?

— Tak! Ach! ciekawa jestem, jaką minę zrobi ten trapista!

— Więc za tydzień usłyszę coś o tem, co nosicie pod spódniczkami? To jest przerozkoszne!

Listy z Paryża.



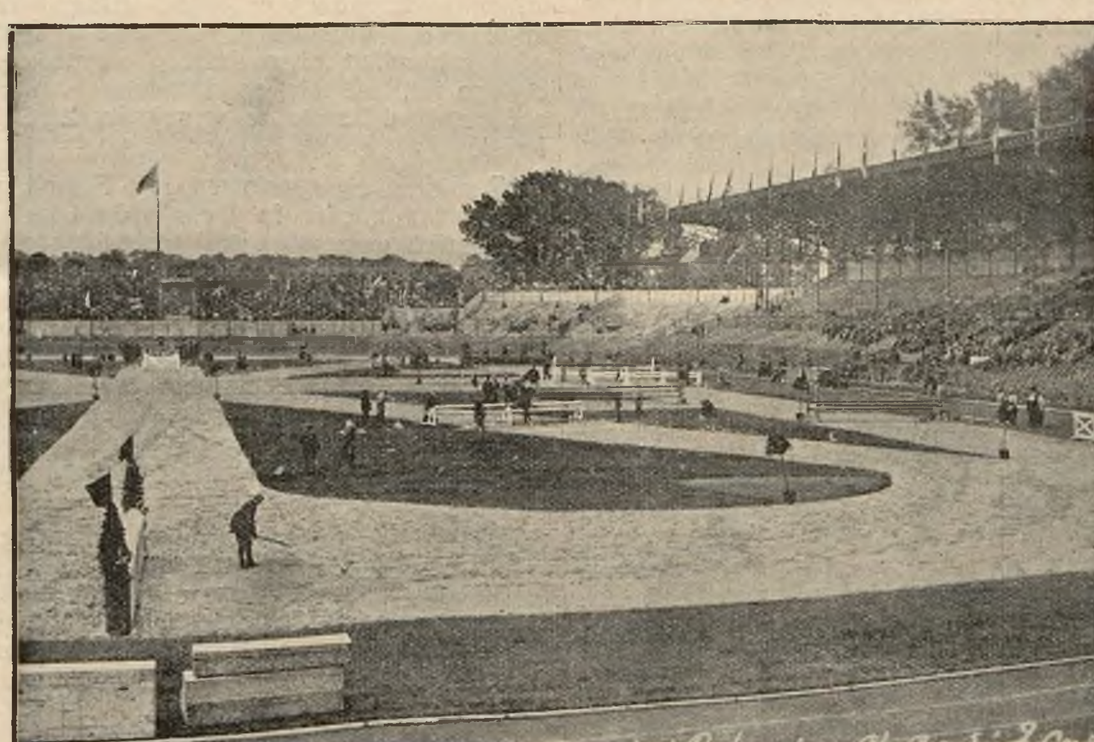
Pułkownik Rummel, który uzyskał nagrodę na konkursie hippicznym.



Cykliści. 1) Höchsmann, 2) Krzemiński, 3 Kostrzewski, 4) Miller.

Druga połowa Olympjady, jej koniec i wyniki. — Francja a sport. — Początek „martwego sezonu". — Rocznica śmierci Jaures'a.

Na Olympjadzie rozegrały się zawody 23 różnych rodzajów sportu, w czem zawody lekkoatletyczne ze wszystkiemi swojemi odmianami liczone są jako jeden rodzaj. Największem zainteresowaniem publiczności cieszyły się zawody rugby, piłka nożna, lekka atletyka, zawody pływackie i hippiczne. Dużo słabiej frekwentowane były boks, kolarstwo, tennis, wioślarstwo i gimnastyka, a prawie całkiem zaniedbane przez publiczność były zawody strzeleckie, żeglarskie i szermiercze. Liczną bogatą i arystokratyczną publiczność gromadziły zawody konnego pola sport ten bardzo mało u nas znany, należy do najpiękniejszych, ale niestety najkosztowniejszych. Na boisku około 300 m. długiem i 180 m. szerokiem spotykają sie dwie drużyny złożone każde z czterech jeźdźców zaopatrzonych w długie lekkie młoteczki, któremi popędzają małą piłeczkę z twardej, białej gumy. Zasada ta sama, co przy piłce nożnej: chodzi o zagnanie piłki do bramki przeciwnika. Gra wymaga mistrzowskiej jazdy konnej i zręcznego operowania młoteczkiem. Match rozgrywa się w siedmiu czasokresach ośmiominutowych z sześciorazową zmianą koni. jedna drużyna składa się więc z czterech jeźdźców i 24 koni. Używa się koni



Stadjon olimpijski w Colombes.



W Paryżu, jak i z resztą w całej Europie namnożyła się ogromna ilość handlarzy japońskich. Zamieszkali oni cały komplex domów na „Mont-martre" i zmienili zupełnie harakter tej specyficznie paryskiej dzielnicy. Na ilustracji widzimy herbaciarnię japońską na „Mont-martre" i japończyków, którzy tam ukazują się w swych narodowych strojach.



W rocznicę śmierci Jaures'a. Jaures na pokładzie żaglowego Jachtu. Zdjęcie dokonane na miesiąc przed jego zgonem.





Rzeźby prof. Raszki: 1) i 3) Projekt „Pomnika Wolności" w Dziedzicach Z lewej strony postać robotnika śląskiego z karabinem w dłoni, w głębi minjaturowy model całości pomnika. Z prawej postać żołnierza polskiego. 2) Pomnik „Nocy listopadowej" przed gmachem Szkoły Podchorążych w Warszawie.

małych, ale rasowych, pełno — lub półkrwistych. Koszt wystawienia jednej drużyny wynosi blisko 250.000 złotych nie mówiąc o kosztach transportu i podróży do Paryża z krajów tak odległych jak n. p. Argentyna.

Matche konnego pola były wspaniałym obrazem sportu luksusowego, arystokratycznego i dawały widzowi wysokie zadowolenie estetyczne. Pierwsze miejsce zdobyła Argentyna pokonując ogólnie za faworyta uważane Stany Zjednoczone.

Ostatni tydzień Olympjady zajęły zawody hipiczne i kolarskie. Tak w jednych, jak i w drugich osiągnęła reprezentacja Polski ładne wyniki.

W ocenie indywidualnej zawodów hipicznych zdobył por. Królikiewicz trzecie miejsce dla Polski, a w ocenie ogólnej stanęła reprezentacja polskich mistrzów jazdy konnej na szóstem miejscu. Skoro się zważy, że w zawodach hipicznych wzięło udział około 60 największych mistrzów jazdy konnej, reprezentujących 13 państw wyniki te przedstawiają się jako wcale dobre. W zawodach kolarskich, w których wzięło udział 23 narodowości, zdobyła Polska w biegu na 4.000 m. drugie miejsce, a w ocenie ogólnej szóste miejsce.

Dzięki tym wynikom mogła Polska w uroczystości zamknięcia Olympjady stanąć w szeregu narodowości wynagrodzonych. Oczywiście, że między kufrem nagród jakie przywożą do swego kraju amerykańscy sportsmeni a dwoma skromnemi medalikami, które otrzymały reprezentacje Polski jest długa gama mniej lub więcej odznaczonych dwudziestu kilku narodowości, ale należy się spodziewać, że przy wytrwałej pracy i treningu przez następne cztery lata barwy polskie ozdobią maszt olympyjski w Amsterdamie okazalej.

Ojciec międzynarodowego komitetu olympijskiego, prezydent baron Coubertin zamknął krótkiem, wzruszającem przemówieniem VIII Olympjadę, zapraszając młodzież całego świata na najbliższą Olympjadę w roku 1928 w Amsterdamie. Bilans sportowy VIII Olympjady przedstawia się bardzo dodatnio: największy dotychczas osiągnięty udział państw całego świata oraz osiem nowych rekordów światowych w poszczególnych rodzajach sportu. Nieco gorzej ma się sprawa z bilansem finansowym.

Ogólne wydatki na Olympjadę sięgają 40 miljonów franków i w części tylko były pokryte przez organizacje sportowe i fundusze własne komitetu olympijskiego Dochody wypadły gorzej, niż się spodziewano i mówi się ogólnie o deficycie w wysokości 2 miljonów franków.

Rozwój życia sportowego we Francji popierany przez bogate fundacje osób i związków prywatnych oraz przez wydatne subwencje państwowe osiągnął w ostatnich latach rozmiary bardzo znaczne. Niema we Francji tygodnia, który nie byłby poświęcony jakimś wielkim zawodom sportowym. Rolę sportu w życiu społecznem ceni się we Francji bardzo wysoko i wszystkie jego postępy i sukcesy omawiane są szeroko w prasie toteż Francja uzyskała w obecnej ocenie ogólno-olympijskiej drugie miejsce.

Olympjada przesunęła nieco początek paryskiego „sezonu martwego". Z końcem lipca ustały bale, koncerty, festyny, wyścigi, skończyły się wystawy sztuki, a większa ich cześć zamknęła swoje podwoje. Kto miał dosyć pieniędzy, uciekł nad morze, a kto ich miał mało dotarł przynajmniej do brzegów czystych nurtów Marny.

Większość Paryżanów musi się jednak zadowolnić brudną Sekwaną i niedzielną wycieczką. Chłodne lato tegoroczne czyni ten przymusowy pobyt w Paryżu nieco znośniejszym.

31 lipca w dziesięcioletnią rocznicę morderstwa dokonanego przez niepoczytalnego fanatyka na osobie Jana Jaurés'a uczcił senat francuski pamięć tego wielkiego polityka i trybuna ludowego uchwałą postanawiającą przeniesienie jego zwłok do Pantheonu. W Paryżu i całej Francji odbyły się w tym dniu wielkie uroczystości żałobne urządzone odrębnie przez partje socjalistyczna i komunistyczną.

Paryż, 2 lipca 1924. *Miet.*

Z nowych rzeźb monumentalnych w Polsce.

Nie mamy w Polsce zbyt wiele pomników po miastach, a szczególnie nie zawiele pomników pięknych, skomponowanych architektonicznie z otoczenia, w którem się znajdują:

To też z radością podkreślić należy, że z pod dłuta tak świetnego rzeźbiarza jak prof. Jan Raszka wyszły ostatnio dwa piękne pomniki, które staną w dwu odległych od siebie miastach.

Jeden pomnik stanie na głównym placu miasta Dziedzice, jako „Pomnik Wolności" wzniesiony przez miasto Kresów Śląskich ku uczczeniu tych, z których krwi i znoju „Polska powstała by żyć".

Pomnik ten ma charakter obelisku, z postaciami robotnika śląskiego i żołnierza po obu stronach. Odsłonięcie tego pomnika ma nastąpić w najbliższych tygodniach jednocześnie w stolicy, przed gmachem Szkoły Podchorążych, staje drugie dzieło prof. Raszki, pomnik w stylu nagrobka, z niezwykle pięknie skomponowaną postacią symboliczną na szczycie. Na płaszczyźnie zaś frontowej, — płaskorzeźba: trzy zaledwie zarysowujące się, jakby wyłaniające się z mroku postacie „belwederczyków".

Ów pomnik „Nocy Listopadowej" stanąć ma przed gmachem, z którego w ową noc listopadową roku 30. padło hasło powstania narodowego.




Wystawa psów rasowych w Wiedniu. Na ostatniej wystawie rasowych psów, która odbyła się w Wiedniu w sali Drehera na Landstrasse, drugą nagrodę otrzymała Polka, pani Helena Kłosowska. Zamieszczona ilustracja przedstawia podobiznę uroczej właścicielki wraz z niezwykłym okazem rasy belgijskiej „Lady-Griffon".

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

SZEŚĆ GODZIN

Powieść.

I.

Przez otwarte okna pokoju spływała na posadzkę pełna poświata księżyca i odbitym blaskiem, srebrzyście rozproszonym, wnikała w przestrzeń pokoju. Z cichego pod oknami, zadumanego w księżycu sadu, falował silny, odurzający młodością zapach bzów i drzew owocowych. Noc ledwo się co księżycem w mroku otwarła i za oknami czekała na swe zdarzenia.

Wtem, ciszę skupioną ku jakiejś bajce majowej, rozdarł ostry, brutalny krzyk, płynący z podwórka.

— Hej! Wojciechu! Czy chłopi już są?!

— Są, jaśnie panie dziedzicu.

— Pakuły i powrozy przygotowane?

— Są na wozie.

— Niech maszerują pod leśniczówkę. W drodze dopędzę ich! — Osiodłać mi konia!

— Już osiodłany panie prezesie!

— Dobrze.

Szmer jakiejś rozmowy, już mniej wyraźny. — Głosy oddalającej się jakieś większej ciżby ludzkiej, — skrzyp bramy, — tętent kopyt, — czyjś chód po kamiennej posadzce przylegającego do pokoju korytarza i — znowu cisza zupełna.

Po długiej chwili słowik odważył się wziąć kilka tonów i odpowiedziała mu hasłem, zbudzona krzykiem, tchórzliwa wilga.

Powoli świeże powietrze wiosny i romantyczny zapach bzów, zalewały przykre wspomnienie brutalnych głosów.

A kiedy zdawało się, że już nic prócz tego maja nocnego, do pokoju nie wedrze się, — nagle w oknie ukazała się jakaś postać.

Obcy przechylił się przez ramę okienną i oglądał się ostrożnie po pustym pokoju. Potem wspiął się bezszelestnie na framudze i wskoczył do pokoju.

Chwilę słuchał. — Ale znać nic dla siebie groźnego nie usłyszał, bo tym samym co skok, zgrabnym i cichym krokiem, podszedł do szafki przy ścianie, otworzył ją własnym kluczem, — potem sięgnął do kieszeni, wyjął jakąś paczkę, włożył ją do szafki i znowu zamknął drzwiczki, chowając klucz z powrotem do kieszeni.

Jakby odetchnął z ulgą.

Posunął się na środek pokoju i już nie wypatrując pustki w pokoju, jął oglądać jego ściany obwieszone obrazami. Na jednej z nich zatrzymał jakiś nieduży portret młodej pani. — Podszedł bliżej, jakby zdziwiony. Pod portretem czerniła się prostokątna plama, pochodząca widocznie od odbicia się jakiegoś większego obrazu, wiszącego pewnie dawniej w tem miejscu. Obcy uśmiechnął się i pokiwał głową, baczniej wpatrując się w portret pani. Blada, pociągła twarzyczka, o głębokich niebieskich oczach, pewnie swym niewinnym, uroczym wyrazem młodości, coś mu mówiła, — bo potarł ręką czoło, jakby łagodząc pod niem smutne myśli.

Nagle, ucho jego schwytało jakiś dźwięk. Nastawił się, słuchając.

Tak, ktoś szedł, zbliżał się korytarzem.

Obcy jednym susem skoczył w kąt pokoju i skrył się za wiszącą obok okna ciemną kotarę.

W tej chwili weszła do pokoju, ta właśnie z portretu.

Spokojna i zamyślona, nie przeczuwając nikogo, wolnym krokiem zbliżała się do okna. Łokciami oparła się na framudze, poddając bladą twarzyczkę pachnącemu powietrzu i zasłuchała się, — bo słowik śpiewał nieprzerwanie, swoją partję majową.

Pani była w skromnej sukience wiosennej, a główkę jej otulały bogate, złote włosy, nastrzępione teraz promieniście księżycem.

Uszy jej słowika słuchały, a zadumane oczy patrzyły gdzieś daleko, poza sad, wzrokiem dziecka, chcącego sobie wyobrazić nieznane kraje.

Ale słowik wnet skończył śpiewać pierwszą część swej partji, bo umilkł na dłużej w od poczynku.

Pani powstała od okna i cichem westchnieniem skończyła zadumę.

A potem, chcąc powtórzyć widocznie zasłyszany koncert, podeszła do stojącego w rogu fortepianu i usiadła przy nim.

Ręce jej białe i wiotkie jak lilje dwie, zaczęły muskać klawisze i oto w odpowiedzi słowikowi, wypłynęła z pokoju w sad i w świat, przedziwna muzyka.

Zapewne pani uczyła się grać i była zdolną, bo jej ręce białe, świetnie głaskały klawisze. Ale jeszcze pewniej, pani wiele miała do opowiedzenia słowikowi i komuś jeszcze, może majowi pachnącemu w sadzie, bo jej gra przechodziła technikę strun i znaczków w nutach drukowanych. Jej gra była jakby śpiewem strun arfy nie bitych młoteczkami, ale samych, z siebie i z niej śpiewających.

Białe ręce wodziły lekko i smutnie przedziwną muzykę, w której na dnie, zdawało się rytmem szemrać cichutkie serduszko pani, — w której wibrowały dzwonkami nieuchwytne, niewypowiedziane słowa, jakiejś tęsknej skargi i żalu i modlitwy.

Zagrała się pani w muzyce i nic prócz pieśni swej nie słyszała, jakby sercem całem opowiadała ją Bogu dobremu, drzemiącemu w sadzie.

A Bóg pewnie słuchał, bo ciszę w sadzie nakazał, że nawet słowik — jego ulubieniec, — musiał czekać na swoją kolejkę.

Ale muzyki pani prócz Boga i maja, słuchał też obcy, ukryty za kotarą.

Znać rozumiał ją i słyszał zawarte w niej, choć niewypowiedziane słowa, bo bez szmeru wychylił się z za kotary i patrząc smutno na złotą główkę pani, stał zasłuchany.

Wtem zmąciły się basy fortepianu. Pani drgnęła i ręce jej białe szarpnęły fałszywie kilkoma klawiszami. Poczuła, że ktoś stoi za nią. — Zerwała się od fortepianu i odwróciła.

— Ach! — Kto to!?

— Już więcej ani jednego okrzyku. — Odpowiedział cicho, lecz ostro i przed nią błysnął jakąś bronią.

Blada i przerażona oparła się plecami o fortepian.

— Przepraszam, że tak ostro przemawiam, ale muszę. Jeśli pani chce mię o coś zapytać, proszę bardzo, — byle spokojnie i cicho.

— Kto pan jest?

— Jestem obcy. Nie przyszedłem pani nic złego uczynić.

— Co pan tu robi?

— Słuchałem pani muzyki.

— Poco pan tu wszedł?

— Wszedłem by porozmawiać z panią.

— Dziwne zaiste odwiedziny, z bronią w ręku.

— O, przepraszam panią najmocniej. Chodziło mi tylko o to, by móc bez niepotrzebnych krzyków, wołań i pogoni, rozmówić się z panią. — Ta broń, to tylko zapewnienia spokoju.

I spuścił rękę z rewolwerem.

Nie rozumiała nic. Serce jej biło mocno, pod falującą bluzeczką, a pociemniałe z przerażenia oczy patrzyły na tego dziwnego człowieka z lękiem i obawą.

— O, niech się pani mnie nie boi. Ja naprawdę nie przyszedłem pani nic złego uczynić.

Głos jego był miękki i uspakajający, więc mimowoli śmielej nań spojrzała.

Nie widziała go nigdy przecież, a jednak jego twarz zdawała się jej jakąś nieobcą.

Stał bokiem do okna i księżyc błyskał na silnie sklepionem, gładkiem, na miedź opalonem czole jego i chudym, zapadłym policzku. Falujące, ciemne włosy, zdawały się ożywiać mocne czoło, z pod którego łagodnym, matowym blaskiem aksamitu, patrzały duże, granatowe oczy.

— Rozumiem lęk pani. Ludzie tak są wyrachowani w obyczajach, że cokolwiek stanie się niecodziennie, przeraża ich.

— Trudno nie przerazić się obcego człowieka, z bronią w ręce, we własnym domu.

Uśmiechnął się i nie odpowiedział.

— Tembardziej, że wszedł pan chyba przez okno, bo drzwi są pilnie strzeżone!

Nic nie mówiąc, patrzał na nią urzekającymi niemal oczyma.

— Poco pan tu wszedł?

— Już powiedziałem. Chcę rozmówić się z panią.

— Zatem?

— Pani jest bardzo smutną i nieszczęśliwą.

— Skąd pan wie o tem?

— Ze skargi pani.

— Z mojej skargi?

— Tak. Słyszałem pani muzykę. Skarżyła się pani nią Bogu chyba jedynemu, — ale widocznie tenże sam Bóg chciał, bym i ja skarg pani posłuchał.

— Nie znam pana. Jak możesz pan do mnie w ten sposób przemawiać?

— Znowu obyczaj ludzki pokutuje w pani słowach i myślach.

— Co to znaczy?

— Czyż to nie wszystko jedno, w tej chwili, czy pani mię zna, czy nie zna? Przecież prawdę powiedziałem pani, że jest pani nieszczęśliwą.

— Choćby nawet, — dla pana powinno to być obojętnem. Nie to chyba było powodem, tej conajmniej dziwnej wizyty.

— O, myli się pani. Nie jest to dla mnie obojętnem. A w wizycie mojej, to też leżało jako powód.

Gwałtownemi wysiłkami myśli starała się poznać sytuację i powoli oswajała się z nią.

— Ktoś, kto wchodzi przez okno do cudzego domu, przychodzi coś zabrać. A smutek trudnym jest do zabrania.

— Powoli lęk panią opuszcza. — To dobrze. — Ale niedobrze, że usiłujesz pani być złośliwą. Nie przyszedłem tu nic zabrać. Niesłusznie pani sądzisz, że jestem złoczyńcą.

— A kimże pan jest? Przyzna pan, że dobrodziejem, lub przechodniem obojętnym, trudno pana nazwać.

— Czyż pani nie wszystko jedno, kim jestem? Wszak pani mnie nie zna. Jeśli los zechce, dowie się pani i o tem.

— Jednak nie jest mi wszystko jedno i chcę wiedzieć, kto .. słuchać przyszedł mojego koncertu.

— Niestety, nie przedstawię się pani według szablonu. Przynajmniej na razie, musi to pozostać dla pani tajemnicą.

— Zaczyna to być...

— Chce pani powiedzieć „bezczelne".

— Prawie że tak, lub jeszcze gorzej.

Jakieś inne, niezwykłe, a jednak pośrednie i nad podziw proste odpowiedzi jego, wywołały w niej mimowoli i oporu wychowania, zaciekawienie pomieszane z lękiem niesamowitości.

Starał się ją ująć i ułagodzić, uspokoić słowami swemi, a równocześnie jakby ją chciał niemi pociągnąć w nieznane światy myśli.

Gapani przed chwilą była prawdziwą. Tęsknota i marzenia były jej znamionami. Więc teraz, umysł jej zaprawiony niemi do wiecznych wycieczek w nieznane strony świata i myśli i uczucia, chętnie choć podświadomie poddawał się kierunkowi, który on, ten obcy wyznaczał.

Z fizycznej strony sytuacji, zdawała sobie sprawę wyśmienicie. Biorąc ją codziennie i jak on to nazwał podług zwyczaju, powinnaby zadzwonić na służbę i w ten sposób rozwiązać tajemnicę.

Wiedziała jednak, że mąż prawie wszystką służbę zabrał ze sobą i... że obcy mógł nie dopuścić jej do dzwonka.

A przytem tę fizyczną stronę zakłócała i sprowadzała na manowce z drogi utartego zwyczaju, niesamowitość tego dziwnego gościa.

On tymczasem najswobodniej podszedł do środka pokoju, w którym stał stół okrągły, otoczony krzesełkami.

— Jestem, proszę pani, zmęczony. Zrobi mi pani wielką grzeczność usiadając i pozwalając mnie usiąść.

Nawpół świadomie poszła za jego prośbą. Usiedli naprzeciw siebie. Obcy swobodnym ruchem położył przed sobą na stole rewolwer, tak jakby kładł jakąś zgoła obojętną rzecz.

W poświacie księżyca błysnęła lufa i uderzyła wzrok pani. W jednej chwili błysnęła jej myśl, jeszcze niekonkretna — porwać ten rewolwer z przed niego, zastraszyć go, zmusić by się przyznał kim jest.

Ale on, jakby nie przeczuwając nawet podobnie podstępnych myśli, patrzał na nią poważnie i niemal tkliwie.

— Wiele czaru z tego spotkania, przynajmniej dla mnie, prysłoby może, gdybym pani wyjawił kim jestem. Czy pani nie czuje, jak dziwnie, jak bardzo dziwnie spotkaliśmy się ze sobą?

Jego niski, matowy głos zniewalał niemal do uważnego słuchania i wierzenia. Przykra poprzednia myśl już ulotniła się z jej pamięci.

— Proszę być pan łaskaw najprędzej zakończyć tą przykrą dla mnie rozmówkę (z ironją) towarzyską i wyszedł stąd.

— Pani nie mówi prawdy, nazywając tę rozmówkę — towarzyską.

Lekko zadrżała. Skąd mógł wiedzieć, że nic już się nie boi i że nie jest jej przykro. Nad szczerością jednak zapanowała fałszywa ambicja i obawa przed czemś nieznanem.

— Nie zechcesz pan chyba nadużywać swej przewagi silnego i uzbrojonego. Proszę nie zapominać, że jesteś pan w obcym domu, w którym jest służba i w którym ja panią jestem.

— I tego nie powiedziała pani z przekonaniem. Przecież mąż pani zabrał wszystką służbę ze sobą i w domu jest tylko pani i stary sługa.

— Skąd pan wie o tem?

— Wszak pani jest żoną pana Wilhelma Szporna?

— Czy pan zna mego męża?

— Znałem go niegdyś, bardzo dawno temu. Dziś nie mam przyjemności.

— Nie rozumiem.

— Tu nie o to chodzi.

— O cóż zatem?

— Niech pani przypuści, że ja tu wszedłem nie po to by zabrać coś, ale by coś zostawić.

— Coś zostawić??

— Tak jest. By jednak to się stać mogło, musi pani bodaj przez czas, w którym tu jestem, wierzyć w to wszystko, co ja mówię.

— Przecież ja pana nie znam.

— Do nieznajomych często powinno się mieć więcej zaufania, aniżeli do znajomych. Przytem pani wiara będzie polegała tylko na szczerości, na przyznaniu się w sobie samej, że ja mówię prawdę.

Milczała, patrząc w granatowe oczy jego.

— Słyszałem skargę pani, zawieszoną szeptem w muzyce. Pani tęskni i jest pani smutną. Czyż tak trudno przypuścić, że jestem tu po to, by pomódz pani i bodaj w tysiącznej części spełnić tęsknotę? — Samo zrozumienie muzyki pani, mogło mi wystarczyć za pobudkę.

Milczała ciągle, słuchając.

— Niech pani zapomni jaki dziś dzień jest i jak się pani nazywa i co wychowanie dobre wymagałoby od pani w tej chwili. Przyszedłem pani dać chwilę inną. Nie miałem jednak przedtem tego zamiaru. Obudził się on we mnie, pod wpływem pani muzyki.

Przeczekał chwilę na jej odpowiedź, lecz ona wciąż milczała.

— Jest pani biedną duszyczką, oblężoną ciężkiemi, żmudnemi, podobnemi do siebie jak krople wody, dniami. Z dnia na dzień czeka pani, że coś się jednak innego stanie, aniżeli poniedziałek, wtorek, piątek i codziennie kładzie się pani spać, z tą samą, zawiedzioną tęsknotą.

— I oto dziś nareszcie, dzieje się coś, trochę inne od wszystkiego. I gdybym usłuchał pani i wyszedł stąd, lub dał się pojmać, smutnoby pani było i tęsknota jeszcze więcej daleką by się pani wydała. Czyż nie tak?

— Nie wiem. — Szepnęła zadumana.

Poprzez jego oczy patrzyła gdzieś w dal, ale widziała go, — o, widziała bardzo dobrze.

— Żałowałaby pani tego, co się nie stało, a co by się mogło między nami stać.

— Co by się mogło... Powtórzyła nie pytając.

— Czuję, że już się pani mnie nie lęka. Ale chciałbym to z ust pani posłyszeć, by módz śmielej wieść naprzód.

— Nie wiem. — Po co?

— Niech pani wsłucha się nie w głos mój, ale w słowa. Chciałbym, ten czas spotkania się naszego wyrwać z życia i stworzyć w nim coś innego, coś, coby nazawsze w pani i we mnie zostało.

— Po co?

— By w innym czasie, smutku i tęsknoty, szarzyzny i beznadziei, był wyspą wspomnienia jasnego.

— Czy to możliwe?

— Człowiek nieraz w czasie najsmutniejszego życia usypia ze zmęczenia i miewa przedziwnie piękne, kontrastowo inne od jawy sny. Może są to równoważne ciężary jasności, przeciwko ciemności, tęsknoty przeciwko rzeczywistości. Śnią się nam nieraz rzeczy najbardziej niemożliwe, a jednak we śnie przeżywamy je, tak jak rzeczywistość. — Potem budzimy się do swoich następnych trosk po ubiegłych, ale ten sen w nas i w czasie i w przestrzeni pozostaje. I przez długi nieraz jeszcze czas wspominamy go z westchnieniem.

Umilkł na chwilę i patrzał na nią z jakąś prośbą w oczach.

Ale milczenie to, zaniepokoiło ją trochę widocznie, bo nagle cofnęła wzrok z zadumy i patrząc tylko w jego oczy, zapytała:

— Czego pan chce?

— By spotkanie nasze takim snem stać się mogło.

— Nie jestem wolną. — Powiedziała mimowoli.

— Sny nie pytają się o naszą przynależność.

— Nie śpię i nie śnię.

— Pani, słysz, — przecież ja całem sercem do ciebie przemawiam. Przyszedłem tu w bardzo ważnej dla ciebie misji. I wierz mi pani, ja wiele o tobie wiem.

— O mnie? — Co?

— Nieszczęśliwą jesteś. Chcę, byś na chwilę o tem zapomniała.

Zapóźno. — Coraz bardziej cofała się w siebie i zdawała sobie sprawę z ryzykownej rozmowy. Serce jej biło w takt jego słów, ale przyzwyczajenie i logika zwykła, zabraniały wierzyć w jakieś nadzwyczajności.

Tymczasem obcy, nie przeczuwając reakcji w niej, rzekł nieopatrznie, jakby chcąc wspomódz się w ataku:

— Przecież wiem, biedna pani, że męża nie kochasz, że kochać go nie możesz.

Jakaś błyskawica oślepiła ją.

Ta sama myśl co już raz przedtem, zaświtała. Jednym rzutem porwała rewolwer z przed niego i wymierzyła lufę w jego głowę.

— Ręce przed siebie!

Krzyknęła rozpaczliwie, najzupełniej obcym sobie głosem.

Przez twarz obcego przemknął w pierwszej chwili długi skurcz tajonego bólu. Następnie już jednak uśmiechnął się jak do rozkapryszonego dzieciaka i podniósł ręce przed siebie.

Naraz ku jej zdumieniu zaśmiał się.

— Cha, cha, cha, cha. — Dostałem lekcję, że w przeciągu kilku minut, kilkudziesięcioma słowami nie można zmienić długoletniego przyzwyczajenia człowieka, do normalnej logiki.

— A teraz bez żadnych wykrętów, kto pan jest?

— Muszę przez chwilę ochłonąć ze zdziwienia. Nie spodziewałem się po pani takiej stanowczości i ryzykownej decyzji.

— Kto pan jest? — Powtórzyła, jakby nie słysząc jego słów.

— Jak na kobietę o wyglądzie pani, było to wcale odważne, ale nie powiem by piękne.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że ja mówiąc przedtem do pani, przemawiałem sercem. Traktowanie zaś i przyjęcie takiej mowy rewolwerem, nie jest chyba ładnem.

— Rewolwer leżał przed panem, w czasie jego przemowy.

— Istotnie. W zadumie zapomniałem o tem i przepraszam panią najmocniej, za ten nietakt.

— Zapóźno.

— Mam prośbę do pani.

— Mówić...

— Podniosłem ręce do góry, by odmową nie zrobić pani przykrości. Ale nie jestem przyzwyczajonym do podobnej pozycji i bolą mnie już ramiona. Pozwoli pani zatem, że je opuszczę.

I nie czekając na odpowiedź, opuścił ręce na kolana.

— Ależ pan kpi ze mnie!

— Pani ze mnie boleśniej zakpiła.

— Ja z pana?

— Tak jest. Powtarzam jeszcze raz zdanie, o mojej serdecznej rozmowie.

Gwałtowny czyn jej jednak dopominał się o konsekwencję. Nie namyślając się nad jego słowami i nad swojem uczuciem zaciekawienia dała się powodować poczuciu przewagi, płynącemu z broni.

— Jeszcze raz pytam kto pan jest?

— Daruje pani, ale i tym razem muszę odmówić. Wiem, że pani postępuje wbrew istotnym, choć podświadomym przekonaniom swoim co do mnie i dlatego, nie mam żalu do pani za ten podstęp.

— Daję panu trzy minuty czasu, do wyjawienia nazwiska i powodu pańskiej obecności w tym pokoju. Jeśli pan nie spełni mego życzenia, — strzelam.

— Śmiało, proszę bardzo. Rewolwer doskonały i nawet pani słabej rączce posłusznym będzie.

— Czas upływa.

— Mnie to nie wzrusza. Gdyby pani odrazu nie trafiła, to broń bije sześć razy raz po raz.

— Jeszcze tylko dwie minuty zostają.

— Zgoda, — ja ze swej strony daję pani godzinę czasu, do przemyślenia tego zdarzenia i przyznania mi wiele prawdy. Mam bardzo ważny interes do załatwienia i muszę niestety na małą godzinę wyjść. Będę tu o jedenastej punktualnie i zpodziewam się zastać tu panią, naturalnie samą.

— Jeszcze pół minuty.

— Doskonale. — Gdy wrócę, być może będę mógł pani nawet o sobie coś nie coś opowiedzieć.

— Strzelam!

— Proszę celować w tył głowy, tuż nad karkiem, bo rewolwer góruje. — Więc o jedenastej w tym pokoju.

Powstał z miejsca, ukłonił się bardzo pięknie i zwróciwszy się ku oknu szedł spokojnym, zgrabnym krokiem.

Pani podniosła broń na wysokość jego głowy. Serce jej skrzepło wstrzymanym oddechem, ale ręka wyciągnięta odmówiła posłuszeństwa.

Oczy jej zapatrzone zdumieniem w głowę obcego, zdawały się być przywiązane wzrokiem do niego i ciągnąć ją za nim.

Obcy przeskoczył przez parapet okna i wszedł w sad.

Szarpanymi krokami podeszła do okna i zaciskając zęby, chciała zmusić się do pociągnięcia cyngla. Ale jego głowa nie okryta kapeluszem oddala się spokojnie w sad, poruszywszy w drodze gałąź zroszo ego bzu.

Pani opuściła niemocną rękę i zdumionemi do zapamiętania oczyma, z wpół otwartemi ustami, odprowadziła obcego ścieżką między drzewami, aż do zakrętu.

II.

Obcy przez pół godziny szedł lasem na przełaj, nie trzymając się żadnej ścieżyny.

Po pół godzinie wydostał się na skraj polanki, na której widać było leśniczówkę.

Duży budynek, otoczony stajnią, drewutnią itp. zabudowaniami gospodarczymi, stał ciemny i wyglądał jak wymarły.

Dwie ciemne wieżyczki jego wydostawały się ponad sylwetę lasu i same z całego budynku czarnym konturem, odcinały się na jasnem niebie.

Po dłuższym wpatrzeniu się, obcy spostrzegł dokoła leśniczówki ruszające się gromadami i w pojedynkę ludzkie cienie, co jeszcze bardziej podkreślało niesamowitość leśniczówki i polany.

Obcy cofnął się w las i wpatrzony w ziemię czegoś szukał pod drzewami. Zbliżył się do małego, prawie niewidocznego pagórka pod starym dębem i przykląkł obok niego. Zanurzył ręce w wysoką trawę i z wysiłkiem podniósł obrośnięte, grubo ziemią, jakieś wieko. Z pod wieka ziönęła czarna pustka. Obcy wsunął się w nią i znikł pod wiekiem, które zakrył za sobą.

Tymczasem w krąg leśniczówki na polanie ludzkie cienie schodziły się się i rozchodziły pod drzewami, szepiąc i szemrząc między sobą.

— Stary Szymon go widział.

— Podobno od tygodnia już tu siedzi.

— Mówił Szymon, że obrośnięty jest i obdarty jak zbój. A oczy ma mieć całkiem czerwone.

— Teraz akurat dwa lata, jak ostatni raz tu był.

— Będzie znowu nieszczęście.

— Ale czemuż to jaśnie pan nie przyjeżdża?

— Miał dogonić nas w lesie.

— Może go w drodze jakie złe spotkało?

— E, takiemu to nic się nie stanie.

— Nie bajajcie, ino obstąpcie dom podług rozkazu jaśnie pana i pilnujcie.

Cienie się znowu przegrupowały.

Tu i tam księżyc przez gałęzie przeciekając, oświetlał nagle jakąś pooraną bróżdami, tępą twarz męzką.

Nagle w jednem z okien czarnego budynku, pokazało się czerwone światełko.

Szmer przerażenia przeskoczył między ludźmi.

— Jest.. jest... świeci...

— Gdzie?

— W górnem okienku...

— Nic o nas nie wie.

— Pochować się i czekać, dokąd jaśnie pan nie przyjedzie.

Czerwone światełko tymczasem mrugało to w jednem, to w innem oknie górnego piętra budynku.

Pod najdalszym od leśniczówki dębem, siedział ukryty w mroku sam Szymon i rozmawiał z sołtysem Jakubem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. BRAUN.

„DEMON FILMU"

8

— Pani?

— Zobaczy pan, panie Borghe... Pan jest dobry i mądry. Chciałabym panu dopomódz. We walce ze złem, o której mówiliśmy, przydadzą się panu nawet siły słabej pozornie kobiety. Pozwólcie mi iść razem z wami.

— All right! — zakończył lakonicznie Borghe i uścisnął mocno dłoń Djany Storm.

Film skończył się...

Publiczność wylała na plac przed kinoteatrem, jak wzburzone morze.

ROZDZIAŁ IX.

Pierwsze objawy zatrucia.

— Ekstrablatt! Ekstrablatt!!

Mali, w granatowych mundurkach kolporterzy wylatują jak szarańcza z gmachów dzienników.

Na ulicach mrowie ludzi.

Rozchwytują łapczywie tłustym drukiem zaczernione świstki nadzwyczajnych dodatków...

Czytają, gestykulują, polemizują. Wrzawa...

Nadywyczajne wydanie „Central — Times'a".

ZAMACH NA SZEFA POLICJI WĄGNERA!

Dziś o godz. 11 rano jakiś człowiek oddał 5 strzałów do szefa policji Wagnera. Wagner ciężko ranny. Sprawca zamachu aresztowany. Człowiek ten zachowuje się, jak obłąkany i nie zdaje sobie sprawy ze swej zbrodni.

Istotnie aresztowany zachowywał się bardzo dziwnie.

Wielki Detektyw prowadzący surowe śledztwo nie mógł zrozumieć pobudek jego czynu. Ale z chaotycznych, niejasnych zeznań wyczuł instynktownie, że zbrodnia pozostaje w ścisłym związku z tajemniczym, demoralizującym wpływem wczorajszego widowiska w kinoteatrze „Demon". Sam zaledwie całą siłą woli zdołał otrząsnąć się z dziwnego stanu nerwowego podniecenia, czegoś w rodzaju chorobliwego obłędu, w jaki popadł po tym spektaklu. Prowadząc śledztwo poprostu dygotał wewnętrznie ze zgrozy. Oto pierwsze ptaki jakiejś strasznej zarazy, jakiegoś zatrucia, które sprowadza ten szalony „Demon" na miasto. Borghe przeczuwał to i przemocą opanowywał rozluźnione nerwy i władze umysłowe, by z całym aparatem woli i rozsądku przystąpić do walki z nadchodzącem złem.

— Nazwisko? — pytał ostro.

— John Brighton.

— Zawód?

Posypały się planowe pytania i chaotyczne odpowiedzi...

Przestępca rozkładał rozpaczliwie ręce, przyznawał się do zbrodni, lecz wcale nie wiedział, czemu to uczynił...

Jego monotonnie lamentujący głos drgał jakąś głuchą, nieuchwytną nutą obłędu.

— Panie prokuraturze, słowo daję, jestem spokojnym człowiekiem. Fryzjer jestem.. no tak — fryzjer... Taki zwyczajny, głupi, malutki. Czego wy odemnie chcecie... Aa? że zabiłem, czy zraniłem tego poczciwego pana?... Doprawdy, więc nie mylicie się? No, jeżeli powiadacie, że strzelałem do pana Wagnera, to widocznie tak było... Ale w tem rzecz, że... ja... nie przypominam sobie tego dokładnie... Panie prokuratorze, jestem spokojnym człowiekiem... słowo daję, co tam słowo! Daję głowę za to!...

— Proszę nie prawić andronów... Nie plątać się...

— Kto się pląta? — dziwił się fryzjer...

— Dlaczego pan strzelał, do licha?

— Hm, w tem sęk! Oh panie prokuratorze zmiłuj się nademną. Moja matka to taka biedna, pomarszczona staruszka. Nie mówcie jej nic — oj, bo jak ona się dowie...

Tu łapał się za głowę i kiwał nią smutno.

— Pan Wagner? Ależ panowie drodzy, toż ja go znam, jak moją własną rodzoną kieszeń. On się strzygł niedawno u mnie. Mądry jegomość, poważny, sympatyczny, ludzki...

— Więc co pana skłoniło do tej zbrodni?

Fryzjer skoczył jak oparzony.

— Do cholery! — wrzasnął. — Dajcie mi już raz spokój! nie wiem, czego odemnie chcecie. Nie róbcie ze mnie warjata! Ja go nie chciałem zabić, ja tylko tak na hecę...

— Milczeć! — huknął Borghe, ale głos mu się załamał, bo rozżaliła go tragedja tego człowieka...

— Panie — szeptał fryzjer podchodząc do niego całkiem blisko. — Powiem panu na ucho, jak to było... Był pan wczoraj w kinie, co? W tem wielkiem, nowem kinie. „Demon" się nazywa, hihihi — bardzo śmieszne. Tam ci był taki apasz, co strzelał do dyrektora policji, rozumie pan? Grał... no... nie umiem powiedzieć, jak ten drań grał... To Smith, nasz Smith, znam go z kinematografu...

— Widziałem — mruczał Borghe.

— I jakem wrócił do domu, to mię tak coś w głowie darło i kłuło i paliło — ażem nie mógł strzymać. Wziąłem browning, (mam ładny „spluwacz", ale mi bestje zabrali) i poleciałem na ulicę. Wiedziałem, że dyrektor policji będzie przejeżdżał tamtędy o 11-tej rano. No to co? Apasz w kinie mógł strzelać. a ja nie? Strzeliłem panie, trafiłem w sam brzuch, nawet-em nie wiedział, że mam taki cel.

Borghe czuł, że mu włosy dębem stoją na głowie.

— Oto ofiara — myślał.

Obok niego urzędnicy kiwali uroczyście głowami...

Wielki Detektyw machnął ręką kazał odprowadzić przestępcę do więzień i wezwał telefonicznie specjalistę lekarza.

Wyprowadzony gestykulował żywo, pokrzykując na policjantów...

— Uciekaj bracie, bo cię zabiję. Jestem sławny apasz, rozumiesz. Hihihi! Weźcie łapki, sam pójdę...

Wyszli.

Detektyw zapalił papierosa i zamyślił się głęboko...

. . . .

Ale tegoż wieczoru w „Palais de danse" zdarzył się podobny wypadek...

Po spektaklu w kinie „Demon" hr. Angers z żoną i przyjaciel jego baron Lux weszli w progi tego wesołego lokalu, by zabawić się nieco, a potem sprobować szczęścia przy zielonym stoliku.

W gabinecie gry było pełno.

Panowie siedli do okrągłego stołu, hrabina z jakimś znajomym dżentelmenem usadowiła się obok, flirtując rozkosznie i trącając się z towarzyszem szklaneczkami szampana.

Hrabia Angers nie miał szczęścia.

Każda tura kończyła się jego przegraną. Kupował ustawicznie nieszczęśliwe karty. Kiedyindziej nie wyprowadziłoby go to z równowagi, ale dziś nerwy dygotały mu, jak szklanne szyby od huku przejeżdżających wozów. Ręce mu drżały, serce biło gwałtownie...

Wskazówki zegara pokazywały już godzinę 3-cią po północy, a towarzystwo grało ciągle. Baron Lux trzymał bank. Stos banknotów rósł przed nim, zwiększany dopływem coraz to większych sum padających z portfelu hr. Angers na płytę stolika.

Towarzysz hrabiny zwrócił jej uwagę na to...

— Pani hrabino, mąż pani gra dziś bardzo nieszczęśliwie.

Hrabina uśmiechnęła się, ale dopiwszy szampana wstała i dotknęła z lekka ramienia męża. Hrabia pisał już czeki. Odwrócił głowę niechętnie.

— Nie graj już — szepnęła hrabina — karta nie idzie ci zupełnie...

— Zaraz — mruknął i postawił raz jeszcze.

Przegrał.

Zmieniony na twarzy wstał, odsunął krzesło i chwiejnym krokiem odszedł od stołu.

— Baronie, mój dług wynosi 12...., czy nie mylę się?

Baron kiwnął dłową.

Hrabia wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i powoli wyciągał papierosa. Ale... oto w zwierciadle polerowanego dna ujrzał coś dziwnego i strasznego. Z niewyraźnego tumanu wyłoniła się i ukazała jego oczom ta sama tragiczna scena w karciarni, którą oglądał dziś na ekranie kinoteatru „Demon". Równocześnie znalazł się pod działaniem jakiejś szalonej, nieodpartej siły.

Zaklął straszliwie.

Jednym ruchem wyjął browning i palnął w sam łeb barona Luxa.

Popłoch. Hrabina krzyknęła i zemdlała Panowie rzucili się na furjata i ubezwładnili go, a zaraz potem wpadła błyskawicznie zawezwana policja.

Na podłodze leżał skurczony trup barona, a mordercę jego krytem autem policyjnem odwieziono na śledztwo.

Borghe wezwany telefonicznie wybiegł natychmiast z kawiarni Carrazia, gdzie wyznaczyła mu spotkanie Djana Storm. Nie przyszła dotąd, ale przecież nie mógł czekać na nią. Wsiadł w auto i ruszył jak wicher. Przez głowę przebiegały mu szybkie, raptowne myśli.

— Zamknę ten „Teatr Zbrodni". Niech się oburzają na mnie, niech krzyczą. Jestem przekonany, że to wpływ przeklętego kina. A to dopiero początek, do czarta. Narazie ulegają truciźnie osobniki o słabszych nerwach... Ale co będzie potem? Obstawię ten budynek kordonem policji i nie wpuszczę już dziś nikogo... Bandytyzm!

Stanąwszy przed gmachem policji wyskoczył z wozu.

W chwilę później rozpoczął śledztwo.

Hrabia, jakby obudzony z ciężkiego snu, łamał ręce, chwytał się za głowę i rozpaczał.

— Prokuratorze — ja nie wiem! Ja nic nie wiem! Ja zabiłem barona Luxa? Ależ to wprost wykluczone... Baron Lux — mój najlepszy przyjaciel Lux!?...

Odprowadzono go do więzienia.

Wielki Detektyw wstał, wyprostował się jak struna i spojrzał na urzędników gorejącemi oczyma.

— Panowie — rzekł. — Czeka nas walka ciężka, mordercza walka z demonem zbrodni. Od dziś niech każdy z nas poczuje się żołnierzem na stanowisku! Trzeba wytężyć wszystkie siły, poruszyć wszystkie sprężyny, by wykryć i oddać

w ręce sprawiedliwości sprawcę tego obłędu, jaki spadł na naszą spokojną, kochaną stolicę. Jutro przedstawię panom plan działania i udzielę wyczerpujących objaśnień i instrukcji.

Urzędnicy skłonili się w milczeniu.

Borghe wyszedł.

Udał się do swojego mieszkania.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wcześnie rano zaalarmował go dzwonek telefonu.

— Halloo! To ja! — brzęczał głos miss Djany.

— Do usług!

— Minister Borghe, czy może mnie pan przyjąć?

— Będzie mi bardzo przyjemnie — —

— Dobrze. Za godzinę jestem u pana.

— Do widzenia...

Wstał, ubrał się pospiesznie, zjadł śniadanie i czekał...

Zaanonsowano gościa...

Weszła dziwn'e wzburzona i blada.

— Dzień dobry panu. Bardzo, bardzo przepraszam...

— Ale cóż znowu...

— Ta nieodpowiednia pora...

— Drobnostka. Niechże pani usiądzie... jak u siebie.

— Panie Borghe, musiałam przyjść tutaj..

Oczy jej błyszczały niesamowicie. Na twarzy widniały ślady bezsennych nocy Pod oczyma głębokie bruzdy...

— Pani coś jest..

— Istotnie. Może pan mi to wytłumaczy...

— Cóż takiego?

— Może pan mnie uratuje, uwolni od tego nieznośnego stanu, od tej dręczącej zmory.

Drżała nerwowo i nagle rozpłakała się głośno.

— Pani Djano. Cicho. Niechże się pani uspokoi...

— To od tego strasznego wieczoru, który spędziliśmy razem w kinie „Demon", coś mię tak męczy okropnie. Nie mogę spać. Głowa mię boli. Chwilami tracę świadomość rzeczywistości, nie wiem, gdzie jest i co robię!... Jakieś potworne wizje, jakieś ohydne obrazy podobne do tych, które widziałam tam na ekranie ścigają mię w nocy i we dnie. Edgar Smith stoi przedemną taki zmieniony, tak dziwnie jakoś patrzy się na mnie — nie wiem, co to jest — co to znaczy...

— Znaczy to, że i pani popadła w ów stan zatrucia pod działaniem tajemniczej potęgi „Demona Filmu". Spokojnie miss Djano. Spróbujemy się uleczyć. Nie pani jedna cierpi w ten sposób...

Siadł też przed nią, prawie dotykając kolanami jej kolan i ujął jej ręce.

Uporczywie i długo wpatrywał się w jej oczy...

— Pani jest bardzo znużona — rzekł półgłosem. Pani nie spała w nocy, nerwy są roztrzęsione, powieki ciążą ołowiem. Trzeba usnąć miss Djano, trzeba choć na chwilę koniecznie usnąć.

Wyjął zegarek i trzymał zwrócony tarczą ku niej na wysokości swoich oczu.

Djana istotnie patrząc na błyszczący przedmiot, wsłuchana w monotonne tykotanie zegarka opuszczała coraz niżej powieki, z trudem usiłując je z powrotem otworzyć

Za chwilę uczuła straszne, ubezwładniające znużenie.

Twarz Borghe'a, cały spokój i jej cała zgorączkowana świadomość rozpłynęła się w bladej, bezbarwnej hypnozie.

Usnęła głęboko.

Detektyw wykonał parę pociągnięć oburącz wzdłuż jej ciała i począł mówić głosem cichym, ale dobitnym.

— Kompletny, absolutny spokój. Działanie złej siły przemija. Nie pozostaną żadne ślady tej nerwowej choroby. Mózg będzie funkcjonował normalnie Bezsenność ustąpi. Nie pójdzie już pani więcej do kina „Demon", choćby to panią ciągnęło, jak magnes. Obudzi się pani świeża, jak odrodzona, zdrowa i pełna niespożytej energji.

Nacisnął zlekka jej powieki.

— Zbudź się – powiedział łagodnie.

Djana otworzyła oczy...

Istotnie po obudzeniu uczuła się jakby odmłodzona. Ze śmiechem radosnym dziękowała mu za ten zbawienny dla niej eksperyment hypnotyczny. Jak zły sen tylko majaczyło w jej głowie wspomnienie strasznych, obłędnych halucynacji nieprzespanych nocy.

— Co mam robić? — pytała energicznie.

— Narazie nic – śmiał się.

— Ależ ja chcę działać, pomagać, śledzić.

— Wystarczą — nasi detektywi...

— Zobaczy pan. Spełnię czyn bohaterski. Odszukam wam tego wściekłego „Demona".

— Miss Djano. Niechże się pani nie porywa z motyką na słońce. Obawiam się, że pani w istocie zechce popełnić jakie szaleństwo..

— Aha! — potwierdziła kiwając główką...

— ...I znajdzie się pani wtedy w śmiertelnem niebezpieczeństwie, z którego szpon może trudno nam będzie panią wyratować..

— Osłabia pan mój zapał — skarżyła się

— Nic nie szkodzi Niechże pani jedzie do domu i położy się grzecznie do łóżeczka. My sami damy sobie radę. Sprawa roztrzygnie się wkrótce...

– Bezemnie — zapiszczała komicznie i żałośnie.

Ucałował jej ręce i podprowadził ku dzwiom.

Djana pożegnała go serdecznie i wsiadła do auta.

Odjechała istotnie do domu — grzeczna i posłuszna.

Wielki Detektyw przystąpił do działania. Usiadł przy biurku i począł przygotowywać plan niebezpiecznej kampanji.

— Mac! — krzyknął przez drzwi.

— Jestem.

Do pokoju wszedł główny ajent śledczy...

ROZDZIAŁ X.

Tajemniczy jacht i „palaczka opjum", jego najciekawszy pasażer.

Chcąc odnaleść tego wieczoru bohatera niniejszej powieści, strasznego, złowrogiego „Demona" musielibyśmy z lądu i jądra stolicy przenieść się gdzieindziej, na grunt bardziej chwiejny i niepewny.

Morze — — —

W porcie, niedaleko od stacji wojennych okrętów, tam gdzie zatoka „Purpurowych krabów" rozlewa się w szeroką płaszczyznę Oceanu stoi na kotwicy nieduży, lecz piękny i zwinny jacht „Bajadera". Na szczycie jego masztu powiewa indyjska flaga...

Właściclelem jachtu jest niejaki baron Dax, który jest zarazem kapitanem tego okrętu. Jest to figura bardzo ciekawa i dziwna — ni to wilk morski, ni to wykwintny, subtelny arystokrata. „Kapitanowie sąsiadujących z nim okrętów na wzmiankę o nim żegnają się, lub mamroczą szybko pod nosem słowa zaklęć, odżegnywujących złe moce, bo wspomniany Dax jest podobno — jak oni twierdzą — wcielonym djabłem.

Nie przeszkadza to im wcale przyjmować zaproszeń tego pana i brać udział w urządzanych przez niego festiwalach i ucztach niezwykłych, na które baron, wielokrotny miljoner nie żałuje brzęczącej monety. Nie przeszkadza to tembardziej odwiedzać wesołej „Bajadery" najznamienitszym osobistościom Centralopolis, wśród których nie brak nigdy przedstawicieli najstarszej arystokracji rodowej.

Co tydzień na statku bogacza gra muzyka, strzelają w niebo kolorowe fajerwerki i bajeczna iluminacja odbija się setkami drżących świateł na rozkołysanej tafli zatoki. Pokład „Bajadery" zamienia się wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej laseczki w pływający „ogród Semiramidy", w oranżerję najcudniejszych, podzwrotnikowych kwiatów... Mali, bronzowi Malajczycy ustawiają szeregi palm i araukarji w ogromnych wazonach. Między palmami splątany gąszcz najróżnorodniejszego kwiecia, klomby róż wschodnich, storczyków i lotosów. Rozkołysane, odurzające zapachy upajają nozdrza błądzących wśród tej feerji ludzi, jak olbrzymia, zawrotna kadzielnica. Z gałęzi zwisają ciężkie naręcza daktyli i innych soczystych owoców południowych, które można zrywać wprost, jak z żywych drzew egzotycznych lasów, w klatkach śpiewają ptaki, fruwają ptaki rajskie, kolibry i różnokolorowe papugi..

W altanach palarnie, stoliki do kart i bogato zaopatrzone bufety. Kobiety i mężczyźni jedzą tam, bawią się i flirtują, jak w raju

Zimna. rozkoszna kąpiel w dyskretnie zatajonym w gąszczach basenie.

Tu i ówdzie huśtają się hamaki dla rozleniwionych upa'em kobiet. Płomiennooocy chłopcy mahometańscy poruszają cierpliwie ogromne pierzaste wachlarze, odpędzając natrętne komary i chłodząc rozpalone twarze.

Na lśniącej tafli parkietów ułożonych na przednim pomoście odbywają się dancingi...

Dzika orkiestra gra szalone melodje, pary tańczą.

Od czasu do czasu produkcje akrobatów na masztach i linach, balety wschodnie i tańce stylizowane, popisy sławnych artystek.

Cóż dziwnego, że do burty „Bajadery" przybijają wciąż stada motorówek i łodzi i na pokład wspinają się coraz nowi goście z miasta...

Nie zawsze przyjąć ich może Dax, którego interesy zmuszają do ciągłych i długich często wycieczek do stolicy, ale zawsze znajdą się tam uprzejmi oficerowie, którzy z wykwintną uprzejmością umieją objąć rolę gospodarzy w jego zastępstwie .

„Bajadera" kryje się, jak w gęstwinie w tłumie natłoczonych okrętów.

Aby się do niej dostać, trzeba przebyć istny labirynt okrętów.

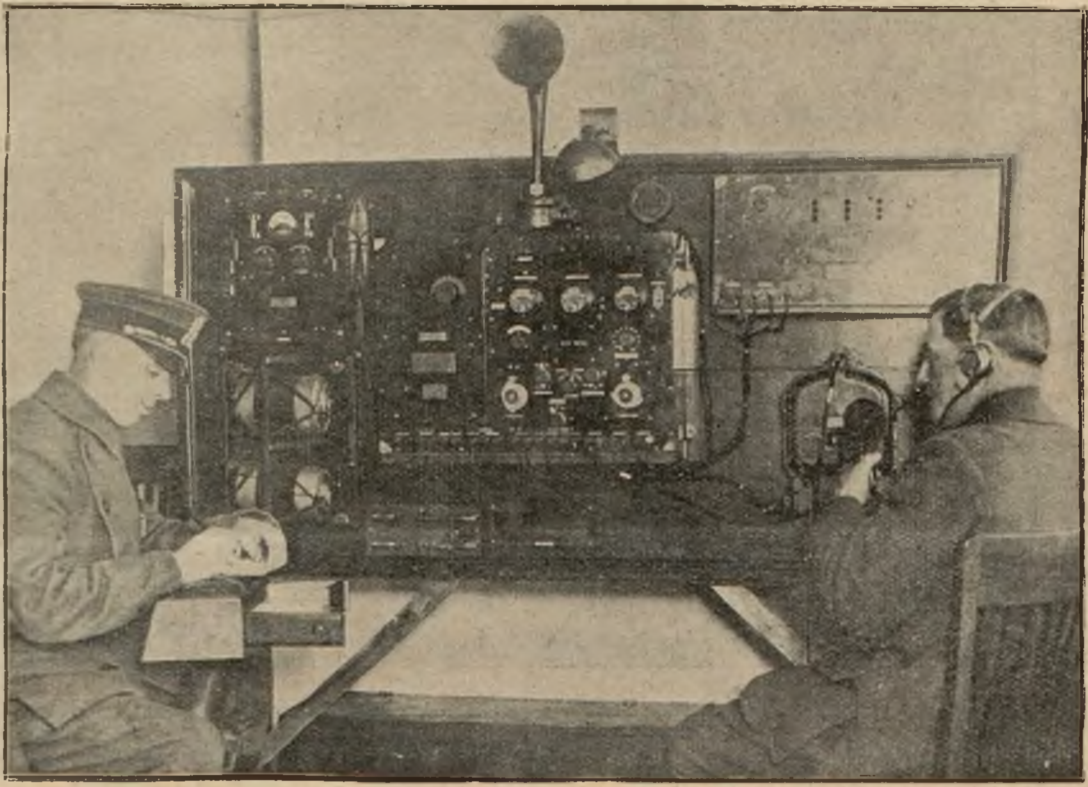
Trzeba płynąć długiemi, krętemi ulicami pomiędzy kadłubami statków pasażerskich, małych i dużych, zwinnych i ociężałych, poruszanych elekrycznością, czy parą.

Las masztów zasłania niebo, łańcuchy i sznury kotwic przecinają drogę. setki łódeczek, czółen i szalup unoszą się, jak gęsto obok siebie rozsypane korki na falach. Gwar, łoskot, hałas, wrzask przeraźliwych syren, zziajane oddechy pieców, zgrzyt lin i huk pary buchającej tu i ówdzie z kominów. Swąd, jak we fabrycznej dzielnicy miasta.

Tu holowniki, tam ciężko ładowne barki, tam śmiałe, obrotne skunery, gdzieindziej prymitywne, żaglowe fregaty południowych wyspiarzy...

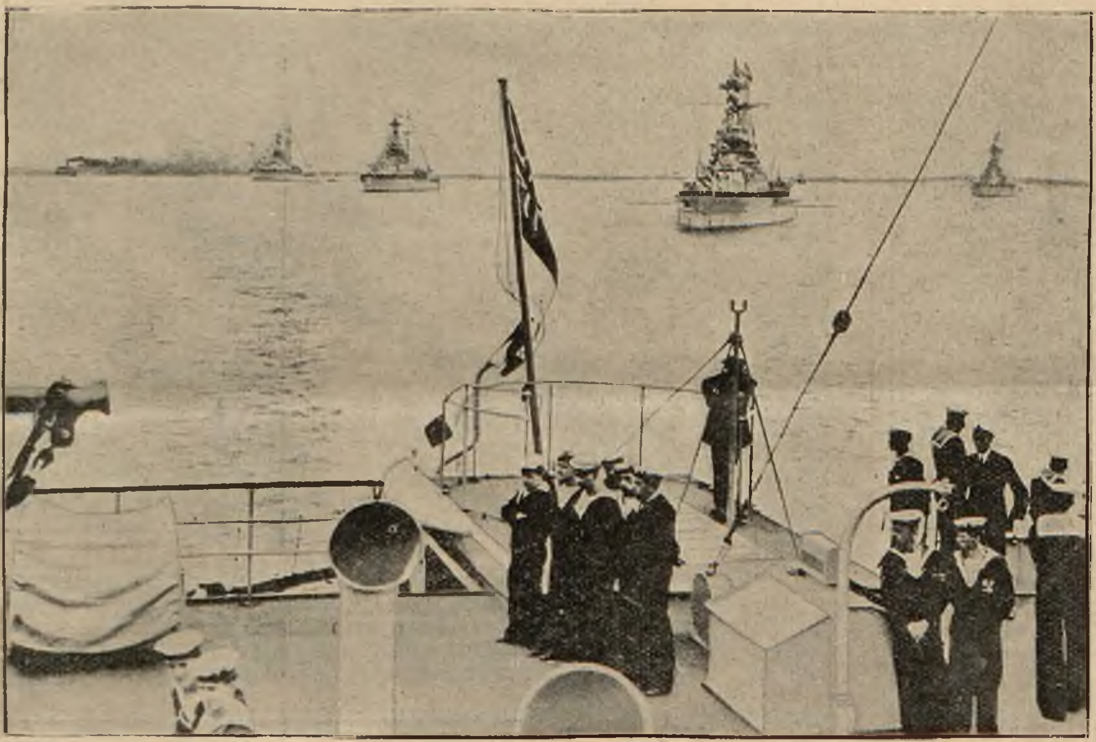
(Ciąg dalszy nastąpi).

Z szerokiego świata.





Radjotelefon na usługach służby pezpieczeństwa. Obok ciągłego udoskonalania istniejących już sieci połączeń i aparatów radjowych — czynione są w Ameryce próby coraz szerszego zastosowania tych wynalazków do życia praktycznego. Ostatnio technik amerykański Henryk Smith wynalazł aparat, który władzom policyjnym pozwala bezpośrednio po dokonanym przestępstwie rozciągnąć sieć pościgu za uciekającym przestępcą. Na ilustracji widzimy 1) Centralę radjotelefoniczną w urzędzie policyjnym 2) Wynalazcę jej H. J. Smitha.



Wielkie manewry angielskiej floty wojennej w Spithead. Koło wybrzerza Spithead, niedaleko portu Porstmonthskiego odbyły się wielkie manewry angielskiej floty wojennej, w których brało udział około 200 okrętów wojennych i pomocniczych. Zdjęcie nasze dokonane zostało z pokładu „Traitera". Na pierwszym planie widzimy „Quen Elisabeth„. Dreadnonth, liczący 36½ tys. tonn, chlubę angielskiej marynarki. Podczas manewrów obecnym był król angielski oraz najwyżsi dygnitarze imperjum.

Atlantic.



Miljonerzy — mordercy: Dwaj synowie znanego chicagowskiego miljardera, Soeba — Natan i Ryszard zamordowali swego towarzysza szkolnego, Roberta Francka, również syna miljardera. Przy zeznaniach opowiedzieli, że uczynili to gwoli zaspokojenia swej ciekawości, gdyż nigdy dotychczas nie widzieli śmierci człowieka. Ilustracja przedstawia scenę w więzieniu śledczem.



W chińskiej dżonce naokoło Świata. Kapitan Waoord ze swą żoną i dzieckiem na pokładzie dżonki chińskiej, na której przedsięwziął podróż.

(Atlantic — Photo.)



Małżeństwo wynalazcy: Słynny wynalazca „Insuliny", radykalnego środka przeciwko cukrzycy, dr. T. S. Banting, niedawno wstąpił w związki małżeńskie. Na ilustracji widzimy doktora z młodą żoną przed ich domem.



W chińskiej dżonce naokoło świata. Podróżnik amerykański kapitan marynarki G. Waoord ożeniony z chinką, przedsięwziął przeżeglować oceany w chińskiej dżonce i wyruszył już w tą podróż z żoną swą i z dzieckiem z portu Nowojorskiego.

(Atlantic — Photo).

Nowa placówka artystyczna na Śląsku.



Jerzy Soplica, według portretu art. mal. Kaspra Żelechowskiego.

Olbrzymią lukę, jaka dawała się odczuwać przy organizowaniu koncertów zawodowych artystów polskich na Śląsku wypełniło obecnie świeżo założone Biuro Koncertowe, którego właścicielem i dyrektorem jest znany literat i kompozytor Jerzy Soplica. Biuro to ma za zadanie angażować na występy pierwszorzędnych artystów polskich. Ideą przewodnią, jaka przyświeca założycielowi Biura koncertowego, to budzenie w społeczeństwie górnośląskiem zamiłowania do sztuki ojczystej, co osiągnąć można przez programowe zapoznanie społeczeństwa z artystami polskimi i ich produkcjami w dziedzinie muzyki, teatru, tańca klasycznego, recytacji i deklamacji czy to w formie solowej czy też zbiorowej. Założenie podobnej placówki kulturalnej na Śląsku w przeciwstawieniu do niemieckiego „Konzert und Vortragsgesselschaft“ jest godnem jaknajwiększego poparcia tak ze strony miarodajnych czynników jakoteż przedewszystkiem samego społeczeństwa, dla którego dobra wszelkie starania zostały podjęte. Śląskie Biuro Koncertowe urządziło już w ciągu ostatnich trzech miesięcy szereg koncertów jako próbnych występów i doszło do przekonania, że planowe regulowanie ruchu koncertowego na Śląsku jest jednym z najważniejszych postulatów życia artystyczno-oświatowego odrodzonej dzielnicy. Dodać musimy, że zadaniom artystycznym i ideowym sprosta nowa Dyrekcja niezawodnie ku ogólnemu zadowoleniu publiczności, piastują ją bowiem godne ręce cenionego działacza społecznego i wytwornego artysty i krytyka.

Przed każdym sezonem koncertowym wydany będzie specjalny „Przegląd koncertowy“ pismo artystyczno-informacyjne, które zamieści podobizny artystów, ich życiorysy, krytyki, autografy podpisów itp.

Nowej placówce kulturalnej tak niezbędnie na Śląsku potrzebnej serdeczne „Szczęść Boże“, załącza Redakcja naszego pisma.



W Hyde-parku w Londynie chowa się stadko reniferów. Mimo, iż klimat Anglji niczem nie przypomina stref arktycznych, renifery czują się doskonale, co jest dowodem wielkiej zdolności aklimatyzacyjnej u tych stworzeń.



Żywiołowy pożar w Salonikach. Saloniki zostały zniszczone prawie doszczętnie wskutek olbrzymiego pożaru. Cała dzielnica pięknego miasta została obrócona w perzynę. Szkody wynoszą **kilkanaście miljonów dolarów**. Rzut oka na Saloniki. Atlantic.



Poświęcenie kamienia węgielnego pod bułgarski uniwersytet w Sofji. W Sofji król Borys położył kamień węgielny pod budowę bułgarskiej wszechnicy. Budowę prowadzą dwaj słynni bułgarscy architekci, bracia Georgiew. Król Borys podpisuje się na pierwszej stronie księgi pamiątkowej uniwersytetu.



Bestjalski mord na Rydlówce w Podgórzu: Na ilustracji zamieszczamy fotografję Jana Joba, kowala rodem z Kosocic, który 9-go sierpnia przez zemstę zasztyletował swych współtowarzyszy pracy. Władysława Florka i Józefa Tycholisa. Zbrodniarza zdemaskowała maleńka dziewczynka, mimowolny świadek morderstwa.

Sumienny komiwojażer.

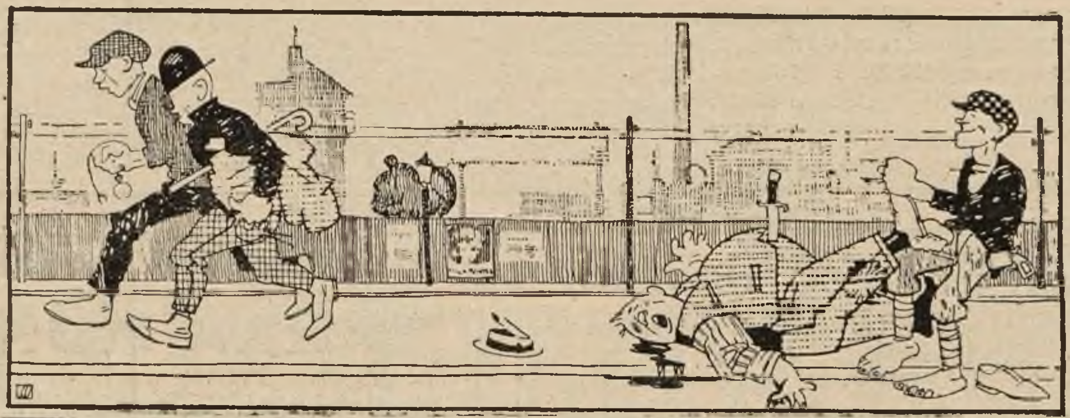


Wódz Siouksów: A teraz, gdym ci przypalił podeszwy, zdejmę twój skalp, psie biały!

Komiwojażer: Bardzo pięknie, mój czerwony klijencie! Ale zanim zdejmiesz mój skalp, przeglądnij kolekcję próbek towarów w tej oto torbie. Zamówienie przesyłamy odwrotn'e...

Szybkość policji.

(Na czasie).



Gość (przebity sztyletem): Ooo! ooo!!! Policja!!!
I Ander: Śmiej się z tego! Policja sie nie spieszy! (ściąga buty z nóg ofiary).
II Ander: Zanim przybędzie policja, przepijemy ten łup w knajpie.
III Ander: Zanim policja nas złapie, pojedziemy Aero llojdem do Warszawy.
Na drugi dzień. *Gość* (wciąż leży) Policja! Policja!!
Policjant: Co się stało?
Gość: Obrabowano mnie i zamordowano!
Policjant: Pańskie nazwisko?! Proszę o legitymację. Marsz do komisarjatu!!!

Zagadki do nagrody.

Wobec licznych żądań naszych PT. Czytelników, przywracamy w „Nowościach" dział szarad, zagadek, logogryfów i rebusów. Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznacza Redakcja do rozlosowania premje w postaci książek beletrystycznych.

P. T. Czytelników nadsyłających nam łaskawie szarady, rebusy i t. p. zawiadamiamy, iż za takowe nigdy żadnego honorarjum autorskiego nie płacimy.

Szarada.

(Urywek z powieści)... a gdy nastał *cały*, Maciejowa, wstawszy rano, wzięła *pierwszy z początkiem drugiego* do ręki i poszła na pole, gdzie rosło żyto, składając swe śniadanie w miejscu, gdzie stał wielki *drugi*...

Okienko.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym.

```
a a a a a
a   a   a
k k k k k
n   n   o
o o o r r
```

Znaczenie wyrazów. 1. Napój. 2. Pałac królewski. 3. Silny wiatr.

Telegram.

Z liter telegramu ułożyć znane polskie przysłowie:

Ela! Lech był ośm dni u M.

N. G.

Logogryf.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, by powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzy nam pierwszą literę imienia i nazwiska polskiego powieścio-pisarza.

```
                □
              — □ —
            — — □ — —
          — — — □ — — —
        — — — — □ — — — —
      □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
        — — — — □ — — — —
          — — — □ — — —
            — — □ — —
              — □ —
                □
```

Znaczenie wyrazów. 1. Spółgłoska. 2. Tytuł turecki. 3. Najpospolitsza roślina 4. Imię żeńskie. 5. Inaczej poręka 6. Szukany wyraz 7. Instrument muzyczny. 8 Rzemieślnik. 9. drzewo owocowe. 10. wykrzyknik. 11. Spółgłoska

Łamigłówka literacka.

Znaleść tytuł oper niżej wymienionych kompozytorów. Początkowe ich głoski czytane z góry na dół, utworzą tytuł jednej z polskich oper.

Goldmark
Czajkowski
Bellini
Wagner
Verdi
Poniatowski
Wagner
Giordan
Charpentier
Wagner
Verdi
Auber
Verdi
Verdi
Mayerbeer

Bilety wizytowe.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

R. S. ZAŁAMEK

ZATELEROWSKI

ROMAN IZIK

H. TETRACKI

T. RZEMPOLSKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcja do rozlosowania: **T. Nitmana „Jej chłopiec"** powieść.

OGŁOSZENIA

CENY OGŁOSZEŃ:
Przed tekstem (za tytułówką). Cała kolumna 500 Zł pół kolumny 250 Zł. 1/4 kolumny 140 Zł. 1/8 kolumny 75 Zł. — Wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 75 groszy.

Część redakcyjna.

Cała kolumna opisowa redakcyjna	300	zł.
1/2 „	150	„
1/4 „	75	„
1/8 „	40	„
wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	40	gr.

Za 1 cm. kliszy 15 groszy.

Część inseratowa.

Cała kolumna	200	zł.
1/2 „	100	„
1/4 „	55	„
1/8 „	30	„
wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	15	gr.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i klisarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein